NRLF-1
MAIN

WIELKIE ŁOWY

PRZYGODY MYŚLIWSKIE

Druk Zakł. Graf. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

WIELKIE ŁOWY

PRZYGODY MYŚLIWSKIE

PRZEZ

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO

WARSZAWA
NAKŁAD TOW. AKC. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT"
WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI DLA MŁODZIEŻY

POLISH NEWS AGENCY, INC.
38 UNION SQ. NEW YORK

LIBRARY
UNIVERSITY OF
BELGRADE

Дозволено Военной Цензурою.
Варшава, 28 октября 1914 г.

WSTĘP.

Człowiek walczy zawzięcie z różnemi siłami przyrody w tym celu, ażeby z ciężkiej pracy swojej osiągnąć korzyści jak największe. Szlachetnieje on w tych zapasach, uspołecznia się, wytwarza dobrobyt swój, moralność, naukę, sztukę. Łagodnieją jego obyczaje surowe, gdy z dzikiego włóczęgi-łowcy staje się patryarchą-pasterzem, z pasterza-koczownika — osiadłym rolnikiem-obywatelem. Pustynie nieurodzajne, bory dziewicze, zamieniają się w łany żyzne, szałasy i namioty koczowników—w chaty osadników, przywiązanych do ziemi, którą uprawiają w pocie czoła. W taki sposób powstają wsie, miasta — istne mrowiska pracy ludzkiej — wznoszą się świątynie, szpitale, szkoły, fabryki i t. d. Drogi lądowe i wodne krzyżują się, tworzą jedną wielką sieć na całej kuli ziemskiej, ułatwiają wymianę owoców pracy i bliższego poznania sie, zbratania ludzi. Udoskonalenie, wykończenie tego

dzieła, prowadzi się przez wieki, gdyż pokolenia starsze powierzają swą robotę młodszym do załatwienia. Ciągle naprzód postępujący rozpęd cywilizacyi niema granic i nikt nie zdoła przewidzieć, jak daleko sięgną zwycięzkie tryumfy człowieka nad przyrodą. Ale ileż to przeszkód trzeba zwalczyć, aby w każdem pokoleniu ludzkiem zaznaczyć ulepszenia pracy, postęp, nowe kroki naprzód!

Przyroda przeciwstawia prądowi temu wysiłków ludzkich swoje siły, zdolne w nicość obrócić w jednej chwili dzieło, mozolnie budowane przez długie wieki. Straszliwa ta groźba nie przeraża jednak nikogo, gdyż człowiek właśnie przeolbrzymie siły przyrody bierze pod swoje panowanie i rozporządza, jakby własnemi, w trudnej pracy. Zrozumiał, przeniknął czarodziejską niegdyś przyrodę, a przeto musi zwyciężyć. Cała ludzkość nowożytna, jakby jedna rodzina, zajmuje się dziś sprawą przeobrażenia starożytnego porządku na ziemi, zmienia go na nowy, który bytowaniu człowieka sprzyja pod każdym względem. Z wytrwałością niezmordowaną na każdem polu pracy zdobywa się twierdzę za twierdzą, a gdzie raz zatknięto sztandar postępu, zwycięstwa nad przyrodą, tam on już powiewa, utrzymany przez zastęp dzielnych rycerzy. Tryumfy, naturalnie, nie przychodzą darmo: zdobycie każdego prawie stanowiska wal-

czący muszą opłacać nietylko nadzwyczajnymi wysiłkami pracy, ale i ofiarami cennej krwi ludzkiej. Żyjący w czasie teraźniejszym zawsze pracują i giną dla dobra tych, którzy będą żyli w przyszłości. — Człowiek nowożytny walczy wprawdzie pod takiem samem hasłem „naprzód“, jakiem niegdyś posługiwały się hordy barbarzyńców, szeroko niosących grabieże po świecie. Dzisiaj jednak przyświeca mu idea przyszłości, o wiele, wiele wyższa nad cele korzyści chwilowych, zawsze samolubnych. Pod tem hasłem bowiem rzucają się w świat zwarte szeregi misyonarzy świętobliwych, żeglarzy, wykształconych geologów i innych badaczów przyrody, etnologów, inżynierów, geografów i t. d. Za nimi idzie, uzbrojony w energię, cierpliwy i pracowity rolnik, przemysłowiec obrotny, kupiec mądry. Lasy, nietknięte siekierą, pustynie, od stworzenia świata leżące odłogiem, niedostępne góry i skały z przepaściami, strumienie, rzeki, jeziora ogromne, niemające łożysk stałych, zamieszkane przez potwory straszliwe — oto są wielkie szkoły, w których człowiek nowożytny kształci się, hartuje wolę swoją wśród niebezpieczeństw na każdym kroku. Giną jedynie słabi, nieudolni, ograniczeni. Należy więc działać dzielnie, mądrze. Człowiek nowożytny dopiero staje się prawdziwym królem, panem przyrody, jeżeli ją pokonywa. — Osadnik opuścił kraj rodzinny

przeludniony, nie znajdując w nim pola pracy i warunków utrzymania się z rodziną. Kiedy się teraz rozpatruje w swej nowej ojczyźnie, widzi naokoło sąsiadów, którzy czyhają wrogo nietylko na jego pracę, ale i na życie. Częstokroć spotyka on tu bliźnich, pozostających w stanie dzikości pierwotnej, i trzeba ich odpierać siłą, ponieważ wszelkie inne porozumienie się jest niemożliwe. Liczne zwiarzęta drapieżne dniem i nocą otaczają spokojną zagrodę, chciwe łatwej zdobyczy, jaką im przedstawiają trzody osadników.—Walka człowieka z dzikiemi zwierzętami, współmieszkańcami ziemi, jest odwieczna, a kres jej nieuchronnie musi być taki: zachowanie lub oswojenie gatunków użytecznych, wytępienie szkodliwych. Ludzkość nie powróci już nigdy do tych starych czasów, kiedy tygrys i krokodyl odbierały cześć religijną. — Zamiarem moim jest właśnie przedstawić obraz walk, które człowiek stacza z olbrzymami starobyłego porządku przyrody.

Lew.

Sąsiedztwo potężnego króla zwierząt, który potrzebuje dużo mięsa, aby zaspokoić głód, naraża człowieka na straty dotkliwe i zmusza do zawziętej walki z krwiożerczym rozbójnikiem. Osadnicy i podróżnicy europejscy biorą niemały udział w krwawych zapasach z monarchą pustyń afrykańskich. Było to na obszarze jednego z południowo-wschodnich dopływów Nilu, a w roku 1861 — opowiada sławny S. Baker, podróżnik angielski. — Zastrzeliłem był raz na polowaniu bawoła, z którego zaleciłem zdjąć skórę, a szkielet i nieco mięsa porzucić, jako przynętę dla lwów, gęsto uwijających się po okolicy, a trudnych do wykrycia z powodu gąszczów ciernistych. Słyszeliśmy w nocy ryki lwie, rozlegające się na wszystkie strony, o świtaniu zaś widzieliśmy liczne tropy naokoło obozu. Niebawem przyzwałem Hassana, Tahera i Hadżi-Alego, Arabów, którzy nosili za mną nabite karabiny, i skierowałem się w stronę, gdzie położono szczątki zabitego bawoła. Z przy-

nęty tej nie zostało ani znaku. Tylko na ziemi wszędzie widniały odciski stopy lwiej i przytem ślad bardzo wyraźny, wskazujący, że lew powlókł w zarośla resztki bawoła. Ślad ów na nieszczęście biegł z kierunkiem wiatru, musiałem więc okrążać znaczny kawałek drogi i z innej strony przeciskać się w gąszcze dopóty, dopóki woń padliny nie wskaże mi jej położenia. Lew — myślałem — niedaleko stamtąd musi przebywać. Wszedłem w zarośla, napomniawszy służących, aby postępowali za mną w blizkości. Karabiny do zmiany były mi tembardziej potrzebne, że wyborna moja broń była jednostrzałowa. Posuwałem się cichutko, ostrożnie, pełzając, jak wąż w trawie, przemykając wśród cierni, spoglądając bacznie w około, a palec — zawsze na cynglu. Łaziliśmy tak z pół godziny, zanim poczułem łatwą do rozpoznania woń mięsa, które się psuć zaczyna. Odwróciłem teraz głowę, na migi dając do zrozumienia towarzyszom, że prawdopodobnie jesteśmy już blizko celu i potrzeba wymaga, abym miał strzelby na podręczu. Podwoiłem ostrożność, usiłowałem nie zdradzić się najmniejszym szmerem. Naraz zabrzmiał ryk straszliwy w pobliżu i kiedym spojrzał, zobaczyłem tuż poza krzewem, gdzie czołgałem, o jakie trzy kroki, ciało lwicy. Liście zakrywały mi głowę zwierzęcia, a niewiele brakowało, abym jej dotknął końcem lufy kara-

bina. Była to chwila bardzo poważna. Złożyłem się, mierząc pod łopatkę, wypaliłem. Ryk nie dający się opisać, ogłuszył mię najzupełniej, potem nastąpił jakiś szalony skok, od którego krzaki straszliwie zatrzeszczały... Znowu ryk nadzwyczajny, i oto lew potężny zajął miejsce lwicy, a wyglądał jakby zdziwiony tem wszystkiem, co słyszał. Utkwiłem wzrok w to zwierzę straszne i wspaniałe, a wyciągnąłem rękę za siebie po inny karabin, gdyż byłem bezbronny. Lew ciągle stał w tem samem miejscu, zwracał łeb w kierunku wiatru, widocznie pragnął zwęszyć nieprzyjaciela. Pysznie, okazale wyglądał z tą swoją gęstą grzywą, z postawą zuchwałą, wyzywającą. A tu jakby na złość nie podają mi karabina! Obejrzałem się za siebie: moi pomocnicy leźli powolnie w odległości pięciu kroków. Rzuciłem im groźne spojrzenie, pokazałem pięść zaciśniętą. Taher wyrwał karabin z rąk Alego, sunął, aby mi go podać; teraz i Hassan zawstydzony rączo pomknął ze swoim. Cóż z tego, kiedy lwa już nie było! Nigdy nie straciłem na polowaniu sposobności równie pięknej z powodu tak błahego. Ślubowałem sobie, że odtąd nigdy nie będę już polował na grubą zwierzynę o jednym naboju w ręku. Nie było atoli czasu na rozmyślania, gdyż narzucało się pytanie: gdzie jest ta lwica, do której strzeliłem? Wziąłem teraz karabin o dwóch na-

bojach i zacząłem nasłuchiwać. Po chwili wydało mi się, że słyszę coś, jak gdyby mruczenie w niewielkiej odległości. Taher z szablą wzniesioną i z tarczą w drugiej ręce — innego oręża nigdy nie używał na polowaniu — przetrząsał gęstwinę chróstów, ja zaś podpełzłem w stronę, dokąd mię ucho wiodło. Stała się rzecz niesłychana: rozległ się ryk lwi, potem słyszałem odgłos skoku gwałtownego, wszystko blizko, a nic nie widziałem i nie mogłem strzelać. Teraz mruczenie stłumione dało się słyszeć wyraźnie; przyczajony pełzałem w kierunku tego szmeru. Jakoż niezadługo ujrzałem przed sobą wspaniałą lwicę, rozciągniętą w trawie: umierała od kuli otrzymanej. Gryzła z wściekłością łapę, darła ziemię pazurami. Odległość pomiędzy nią a nami wynosiła jakie dziesięć metrów. Chciałem się przekonać, czy może powstać i dałem znak pomocnikom, aby rzucili na nią kilka bryłek ziemi. Odpowiedziała na to rykiem głuchym, więc zakończyłem jej cierpienia wystrzałem w głowę. Moja pierwsza kula przestrzeliła tę lwicę na wylot. Zasadzałem się potem w noc księżycową o dwadzieścia kroków od założonej przynęty i wyczekiwałem cierpliwie; ale tylko hyeny przychodziły, szybko uprzątały mięso, a nie opłaciłoby się do nich strzelać. Obfitość mięsa z różnej zwierzyny w obozie naszym sprawiała, że tłumy drapież-

ników krążyły po nocach wokoło, a były tam i lwy i inne mięsożerne włóczęgi. Aż jednej nocy lew przesadził wysoki częstokół i wtargnął do naszego obozu, ale służący wypłoszyli go krzykami i głowniami rozpalonemi. Zbudzono mię natychmiast, wybiegłem uzbrojony w strzelbę; cóż, kiedy niepodobieństwem było strzelać przez gęste ogrodzenie. Dopiero nazajutrz przyzwałem Hassana i Alego, którzy—surowo zgromieni za opieszałość w podawaniu nabitych karabinów na przeszłem polowaniu — przyrzekli iść za mną bodaj w ogień. Pod tym warunkiem powierzyłem im strzelby i ruszyliśmy na wyprawę. Cały dzień przeszedł bezużytecznie, nałaziłem się tylko po trudnych do przebycia zaroślach. Ponieważ wyszedłem z zamiarem polowania na lwa, przeto nie strzelałem ani do bawołów, ani do antylop, chociaż mi się nastręczały. Słońce zaszło, więc wracałem do domu z strzelbą na ramieniu, już to przebywając małe polanki, już torując sobie drogę przez cierniste gęstwiny. Wtem poblizki ryk lwa wezwał mię do baczności. I oto okazały król zwierząt powstał za naszem nadejściem. Stał, jak posąg, na polance, a uchem łowił szmery, gdyż chrósty zasłaniały nas przed jego okiem. Złożyłem się w mgnieniu oka i strzał huknął. Lew wykonał skok konwulsyjny i zwalił się, padając na grzbiet. Zanim zdołał powstać z upadku otrzy-

mał drugą kulę. Teraz już wyszliśmy na polankę. Hassan podał mi karabin nabity, a Taher z szablą w garści stanął przy moim boku. Ranny zwierz szalał z wściekłości; rycząc przeraźliwie i mrucząc, rzucał nam swoje groźby i robił wysiłki, aby nas dosięgnąć. Był bezsilny, powłóczył zad za sobą, z czego wniosłem, że kula strzaskała mu biodro. Kręcił się niespokojnie, to znowu upadał, powstawał, zgrzytał zębami, darł pazurami ziemię. Czaszka człowieka pękłaby, jak skorupka jaja w tych pazurach potężnych. Ponieważ noc zapadła, uważałem za właściwe wrócić do biwaku, tembardziej, że trzecia kula nie była tu już potrzebna.

Rano, skoro świt, w towarzystwie prawie całej służby, zabrawszy silnego wielbłąda, wybrałem się na poszukiwanie wczorajszej zdobyczy. Dosiadłem swego wierzchowca Tetela, który złożył już niejeden dowód dzielności myśliwskiej, ale dziś chciałem go postawić wobec lwa i zrobić próbę jego odwagi. Przybywamy na miejsce, gdzie się wczoraj odbyła rozprawa krwawa, ku wielkiemu zdziwieniu nie znajdujemy ani śladu lwiej klęski. Chyba to było inne miejsce?... Jakże się tu zmiarkować, gdy wszystkie polanki są podobne do siebie, niby krople wody? Ha, niema rady, trzeba przetrząsnąć zarośla!—„Jest, jest!“—zawołał nagle Hadżi Ali.— „Oto tutaj leży martwy!“ — Spodziewałem się

tego z pewnością i pociągnąłem razem z innymi w kierunku wskazanym. Atoli przybycie nasze powitał ryk przerażający. Rzekomo martwy lew przysiadł z grzywą najeżoną, spojrzał na nas oczyma, w których błyskawice świeciły, i w krótkich a głębokich rykach rzucał nam wyzwanie. Prawdziwy pan tych pustyń! Do ostatniej chwili życia zdradzał namiętne pragnienie walki: wyrażały to ruchy gwałtowne, wysiłki szalone ciała, dotkniętego niemocą. Tetel odznaczył się tego dnia przedziwnem męstwem. Wielbłąd uciekł przy pierwszem ryku lwa, służący się rozbiegli; mój wierzchowiec skoczył w bok, ale potem dał się powodować i szedł prosto na mocarza pustyni, który w odległości dwudziestu kroków miotał się w najżywszej niecierpliwości. Zatrzymałem konia przed straszliwym zwierzem. W miarę mego zbliżania się, lew zdwajał wściekłość, mruczał ponuro i groźnie, a w koniu utkwił wzrok piorunujący: był groźny, umierając. Pogłaskałem Tetela, zachęcałem dobrem słowem. Spoglądając bacznie na lwa, zjeżył grzywę, jął chrapać, jednak nie zdradził najmniejszej chęci do odwrotu. „Dobrze, dobrze, Tetel!“ — rzekłem, dodając mu głosem odwagi, a przytem głaskałem go ręką, lekko pobudzałem ostrogą, cuglami. Wolno, krok za krokiem, ale stanowczo, postępował ku wściekłemu lwu, który go ciągle wi-

tał mrukiem strasznym. Znowu przystanąłem teraz o sześć kroków. Prawdziwie godny podziwu obraz: ten koń z odwagą nadzwyczajną wobec lwa rozwścieczonego! Tetel przecież nie wiedział, że zwierz jest bezwładny i nie może wykonać skoku. Miałem dosyć tej próby, opuściłem lejce. Koń zrozumiał o co chodzi i stanął, jak skała: wiedział, że zamierzam strzelać. Wymierzyłem w głowę, kula zakończyła męczarnie rannego zwierzęcia.

Jesteśmy w tej okolicy Sudanu wschodniego, gdzie grunt poczyna przechodzić w krainę stepową. Na wschodzie błękitnieje w oddaleniu pasmo gór i stamtąd płynie wężem strumień, wrzynający się w ziemię głęboko; w około, jak sięgnąć okiem, równina usiana tu i owdzie wzgórkami. Gęste, kolczate zarośla krzewią się na tych wzgórzach i ich pochyłych uboczach, a u stóp wzgórzy porastają aloesy i podobne do kaktusów rośliny mleczowate. Ponad rzeczką las trzcin, traw ogromnych. Koczownicze plemię Beduinów żyje tu w namiotach, znajdując dostateczną paszę dla trzód swoich. Z pni i gałęzi mimozy zrobiono płot, niby wał gruby na trzy stopy, wysoki na stóp dziesięć, a najeżony powszędy kolcami ostrymi. Otoczono nim przestrzeń taką, ażeby trzoda w tej zagrodzie, zwanej seriba, mogła mieć na noc wygodne schronienie. Słońce stoczyło się właśnie za widno-

raz uderzył zapalczywie na napastników. Szedł do boju z paszczą otwartą tak szeroko, że dwaj ludzie mogliby się w niej pomieścić. Jakiś Arab rączo poskoczył z oszczepem i zadał mu cios, co jednak nie wywarło najmniejszego wpływu: zwierz zachował się obojętnie, jakby nie czuł pchnięcia. Wystąpił inny, jeden z tych, którzy bronią białą pokonywują słonia i nosorożca. Ostry miecz obosieczny połyskiwał w jego prawicy wzniesionej, ażeby razić dzielnie. Ten człowiek przypominał mitycznego Perseusza, który mieczem godzi w straszliwego potwora, mającego pożreć Andromedę. Szabla spadła jak błyskawica; ale na tem olbrzymiem cielsku hipopotama rana od miecza przedstawiała się niby okaleczenie, nie mające żadnego znaczenia. O wiele skuteczniej działały i teraz garści piasku miotanego w oczy. Zwierz nie mógł znieść tego, znowu się cofnął i pogrążył się w wodzie, aby wymyć oczy. Sześć razy stawał do boju, zawsze jednakowo groźny i sześć razy wracał do wody. Brakowało już do walki oręża, gdyż zwierz podruzgotał mnóstwo oszczepów, które mu wpadły w paszczę, a w innych żelazo się stępiło zupełnie z powodu padania na skały i nie imało wcale skóry twardej.

Walka trwała przez trzy godziny i słońce już miało się ku zachodowi, a niezwyciężony

hipopotam, przyciągnięty do brzegu, jeszcze się potężnie bronił. Haurti obawiali się, aby zwierz wśród gwałtownych szamotań nie zerwał lin i zanieśli do mnie prośbę o strzał skuteczny. Wkrótce też nastręczyła się sposobność, kiedy hipopotam wzniósł głowę nad wodę. Strzeliłem w łeb między oczy i to położyło kres dramatowi krwawemu.

Nosorożec.

Jesteśmy na lądzie afrykańskim, w dolinie rzeki Atbary, na południe od miasta Kassala. Rano, pierwszego stycznia — opowiada Samuel W. Baker, — wyruszyliśmy na polowanie. Nad brzegiem rzeki dawały się widzieć liczne ślady słoni. Długo błąkaliśmy się tu i owdzie, z wysokości wierzchowców swoich obijaliśmy dojrzałe owoce baobabów, zbieraliśmy żywicę akacyi, która wyglądała jak topaz, a drzewa strojne nią sprawiały wrażenie czarodziejskiego ogrodu z bajki. Byliśmy już w znacznej odległości od rzeki, kiedy jeden z myśliwych ukazał nam w milczeniu kępę krzewów ciernistych, obok których widniała jakaś masa bezkształtna. Zsiadłem z konia i w towarzystwie Araba Solimana podchodziłem ostrożnie. Już w blizkości kępy rozpoznałem kształty dwóch nosorożców głęboko uśpionych w cieniu chróstów. Szepnąłem Solimanowi, aby niezwłocznie powrócił do strzelców, dosiadł swego podjezdka i przyprowadził

mojego w tę stronę. Teraz czaiłem się jak wilk, pełzałem i dotarłem do nosorożców na odległość może trzydziestu metrów. Kto wie, czy we śnie nie poczuły nieprzyjaciela, gdyż powstały z zadziwiającą zwinnością, a jeden, wydając świstanie „uif, uif, uif“, poskoczył w moim kierunku. Na nicby mi się nie zdało mierzyć w łeb uzbrojony w dwa rogi. Posłałem mu więc kulę w gardło, co wywarło nań wpływ taki, że natychmiast zawrócił; następnie oba nosorożce zniknęły z szybkością nadzwyczajną. Dalejże w pogoń! Arabowie w lot poskoczyli na koniach za tą parą. Ja też dopadłem wierzchowca i nie tracąc czasu na nabijanie strzelby, popędziłem za innemi.

Z powodu drogi, utrudniającej jazdę, pozostawałem jakiś czas w tyle, dopiero na równinie dognałem moich Arabów. Przedstawił się widok prawdziwie zajmujący. Dwa nosorożce, jakby sprzężone w parę, pędzą z szybkością szaloną. O dziesięć kroków od nich Arab Taher z szablą wzniesioną, z włosami rozwianymi, ściga w obłoku pyłu na wyciągniętym jak struna biegunie. Brat jego Rodar, z cuglami zawieszonymi na resztce uschłej ręki lewej, sunie drugi z rzędu. Trzeci jest Abu-Do, bodzie konia łydkami, nagli go okrzykami i pochylony naprzód, z wyciągniętym mieczem długim, z oczyma roziskrzonemi, wygląda jakby w za-

pale bojowym gotów był nawet razić bodaj powietrze. Trzeba wiedzieć, że ci myśliwi polują tylko z białą bronią. Nacieram ostrogami na swego Tetela, wydobywając z niego siły nadzwyczajne i w jednej chwili jestem już wśród ludzi, koni, mieczów obnażonych. Prześcignąłem Abu-Do, którego koń osłabł, i przeto rysy twarzy Araba wyrażają rozpacz niezmierną. Zrównałem się z Rodarem, wnet go wyprzedziłem, podczas, gdy Abu-Do dochodził do szaleństwa, widząc, że nie może wyskoczyć przed innych. Usiłuję przedostać się, dotrzeć do nosorożców i jednemu z nich wsadzić kulę w bok lewy. Nie, nie można! Cwał tych zwierząt jest szalony, nadzwyczajny. Zrobiliśmy, co się tylko dało: jesteśmy w odległości od nich na trzy albo cztery kroki. Pozostaje nam jedynie nadzieja, że jeśli konie nasze będą biegły ciągle z tą samą szybkością, to nosorożce znużone, wyczerpane, może nareszcie zwolnią cokolwiek w biegu. Gdzie tam!

Przebyliśmy przestrzeń dwumilową i nie spostrzegamy ani znaku znużenia: mamy zawsze do czynienia z tą samą szybkością w susach, czy to na równinie otwartej, czy wśród zarośli ciernistych, gęstwiny chróstów, które dla naszych koni stawiają wielką przeszkodę do biegu. Orszak nasz coś się wydłużył: mało kto już trzyma się w odległości dobrej; konie

niektóre ustają. Dotarliśmy do szczytu łańcucha wzgórzy, mamy przed sobą pochyłość, łagodnie opuszczającą się ku rzece. Oto na dole widnieje gąszcz zarośli, na których widok zwierzęta ścigane zdwajają szybkość biegu, aby jak najprędzej dopaść i ukryć się w tem schronieniu. Dla nas one tam przepadną. Widzimy kres, gdzie polowanie musi się skończyć i zwiększamy usiłowania. Dwadzieścia minut trwa ta gonitwa zapamiętała. Koń Solimana ustał. Mój Tetel już nie należy do najszybszych; ale przyczynę tego może stanowi okoliczność, że ja ważę pewnie o jakie dwadzieścia pięć funtów mniej , niż inni. Już tylko czterej jeźdzcy pędzą po pochyłości wzgórzy, a Taher zawsze na czele. Abu-Do jest ostatni; koń jego teraz właśnie zupełnie ustał. Zrozpaczony jeździec i myśliwy zawzięty zeskakuje na ziemię i rzecz niesłychana, pieszo puszcza się w pogoń. Ma on zaprawdę nogi antylopy! Na przestrzeni coś dwudziestu metrów, sprawiał na mnie wrażenie, że nas prześcignie i będzie miał zaszczyt zadania nosorożcowi szablą pierwszego ciosu. Było to jednak niepodobieństwem, i konie wnet go zostawiły na tyłach. Więc już tylko trzej myśliwi prowadzili pogoń.

Zbliżamy się do gąszczów i wzruszenie nasze potęguje się ogromnie. Nosorożce okazują znużenie, trzymają nosy przy ziemi, dmu-

chają w pędzie, a chmura pyłu wznosi się przed ich łbami. Ach, gdybym miał konia z siłami świeżemi! Gąszcz jest tylko o dwieście metrów. Konie ustają, mój chwieje się, robi bokami, dyszy. Ale i nosorożce już nie cwałują: biegną kłusem. Taher, naprzód, naprzód! Przygarbiony na szyi konia, z szablą wzniesioną, gotową do zadania ciosu, już-już jest na piętach zwierząt. Jeszcze dwie sekundy, a zbiegi nam ujdą. Taher zrobił nowy wysiłek; szabla błysnęła w powietrzu, rzuciła blask migocący w chwili, kiedy właśnie ostatni nosorożec znikł w gąszczu... Widziałem wyraźnie na krzyżu zwierzęcia szramę od szabli, długą na jedną stopę. Zwyciężylibyśmy całkowicie, gdybyśmy mieli jeszcze przestrzeń dwunastu metrów. „Wybornie, Taher“! — zawołałem.

Bez względu na niepowodzenie, nigdy przedtem ani potem nie doznałem równego zadowolenia. Gonitwa była znakomita, świetna. Ale wszystko blednieje w pamięci na wspomnienie dzielności nieustraszonego człowieka, który, uzbrojony jedynie w szablę, ma odwagę zaczepić i zdolny jest pokonać jednego z najpotężniejszych olbrzymów ziemi.

Wkrótce potem znowu odkryłem świeże ślady nosorożca i wniosłem z różnych spostrzeżeń, że zwierz niedaleko się ukrywa. Miałem za towarzyszów dwóch strzelców i służącego

Mahometa, który prowadził za mną konia, jeśli w danym razie wypadło mi iść pieszo. Podróż przedstawiała trudności z powodu kamieni ogromnych, ukrytych w trawie. Zatrzymaliśmy się ażeby wymiarkować, gdzie może przebywać ów zwierz tropiony, a nie chcieliśmy tak podchodzić, aby mu wiatr wiadomość o nas przyniósł. Nagle rozlega się znany świst „uif, uif, uif!“ Jednocześnie słyszymy jak gdyby szum, trzask huraganu wśród traw i zarośli. Dwa straszne potwory wypadają z gąszczów, rwą ku nam z gwałtownością szaloną. Ratuj się, jak kto może! Uchodzimy co tchu i czasu niema spojrzeć poza siebie.

Miałem pod sobą konia Agara, bodąc go w boki ostrogami, obejmuję szyję jego oburącz, prawie, że leżę na nim ufny w Opatrzność i w dzielność wierzchowca. Pędzimy poprzez skały, kłody drzew zwalonych, przez chrósty, trzciny, a poza nami o kilka stóp dwa potwory piekielnie wściekłe. Brzmiało mi w uszach ich gwizdanie, a musiał to słyszeć również mój koń, gdyż urągał w pędzie wszelkim przeszkodom. Myśliwi rozprószyli się. Mahomet otrzymał pchnięcie od nosorożca i upadł, niektórzy, podpierając się kolbami karabinów, włazili na skały. Przy wyjściu z gąszczów spojrzałem poza siebie: nie miałem już na piętach nosorożców, które pędziły teraz po linii prostej. Rzecz

nadzwyczajnie dziwna, że mój koń zdołał ujść w takich wertepach. Ubranie na mnie było w strzępach, krew płynęła z rąk pokaleczonych. Gdybym się nie był trzymał szyi konia, gałęzie kolczaste niezawodnie ściągnęłyby mię z siodła w czasie tej ucieczki. Ludzie, należący do orszaku myśliwskiego, znajdowali się w stanie opłakanym: szpetnie obdarci i podrapani. Co się tyczy Mahometa, nosorożec zwalił go z nóg w pędzie szalonym i przebiegł w mgnieniu oka po jego ciele, nie zwracając uwagi na tak małą przeszkodę. Więc Arab najadł się strachu daleko więcej, niż doznał krzywdy. A tak, oba moje polowania na nosorożca nie miały powodzenia.

Znowu ułynęło kilka dni czasu, podczas których polowałem bądź na bawoły, bądź na antylopy, strusie. Dopiero jednego razu, krążąc po okolicy, gdzieśmy zniszczyli trawy ogniem, spostrzegłem na popiele odciski wyraźne stopy nosorożca. Stąd udaliśmy się do lasu i tu niebawem ujrzeliśmy nosorożca, który samotnie używał wypoczynku na polance. Natychmiast umieściłem swą drużynę tak, aby nie zwróciła uwagi zwierza, oddałem im pod opiekę swego konia i samowtór zacząłem z największą ostrożnością obchodzić położenie. Z odległości trzydziestu pięciu kroków wypaliłem mierząc w łopatkę. Nosorożec porwał sie żywo, śledził oczy-

ma, gdzie jest przyczyna, która mu zadała ranę. Kiedy mię spostrzegł, odwrócił się, poszedł spokojnie pod poblizkie drzewo z wielką koroną i tam się położył. Był to znak, że otrzymał ranę ciężką. Przybliżyłem się znowu do niego w chwili, kiedy właśnie spostrzegł w oddaleniu Tahera i powstał. Odsłonił mi bok, więc strzeliłem. Podskoczył i rzucił się nagle w moją stronę. Miałem już posłać mu trzecią kulę, kiedy stanął, obrócił się, wydał głos ostry, przenikliwy i padł na ziemię. Rzuciłem nań kamień, przekonałem się, że nie żyje. Łatwe było zwycięztwo. Zdjęliśmy skórę z niego tak łatwo, jak z pomarańczy: jest to bardzo cenny materyał na tarcze, których robi się coś siedm z jednej skóry. Róg, używany na rękojeści szabel, ma także wartość niemałą.

Potem wypadło mi zwiedzić Gallabat, pograniczne miasto Abisynii. Podążając tam, rozbiliśmy jednego dnia namioty w pięknej dolinie nad strumieniem. Nazajutrz rano dosiadłem wierzchowca i w towarzystwie Tahera, Hassana i Hadżi-Alego udałem się na wzgórek wzniesiony nad poziom może o jakie sto metrów. Kiedy tak rozpatruję stąd okolicę, naraz spostrzegam dwa nosorożce, które wyszły z wąwozu. Postępowały krokiem wolnym, zatrzymały się u stóp naszego pagórka i jęły tu szczypać trawę. Widocznie jednak coś zwiet-

rzyły, gdyż zawróciły i skryły się tam, skąd wyszły przed chwilą. Ale i tak widziałem je jeszcze z góry dobrze; byłem tylko pewny, że ich nie zobaczę, kiedy zejdę w dolinę. Niezwłocznie posłałem do biwaku jeszcze po dwa konie, które w danym razie mogły być potrzebne. Kiedy je przyprowadzono, kazałem Tetela przywiązać za cugle do drzewa u stóp pagórka, ponieważ postać jeźdzca na koniu rysuje się zbyt wyraźnie i nosorożce mogłyby mię dojrzeć. Stojąc na tem wzniesieniu, widziałem wszystko jak na dłoni: zwierzęta legły w cieniu i były podobne do wielkich brył kamieni. Dwa dziki, biegnąc za wiatrem, zbliżały się ku ich schronieniu. Nosorożce zwietrzyły to natychmiast, zerwały się na równe nogi, zaniepokojone znowu opuściły wąwóz, szły a postawały nieustannie. Postępowały w odległości stu kroków jeden od drugiego, kierując się właśnie w tę stronę, gdzie kazałem uwiązać wierzchowca.

Pełen obawy, aby dzielny koń nie padł ich ofiarą, czemprędzej zwróciłem na to uwagę Tahera. „Nie, nie!“ — odpowiedział. — „Żar kapie z nieba, i one szukają cienia, aby się położyć!“ — A jednak zbliżały się coraz więcej i naraz ten, który szedł na przedzie, przystanął: spostrzegł konia. Puściłem się teraz tak rączo, jak tylko pozwalały na to kamienie, a już nie

spuszczałem z oka zwierza, zmierzającego prosto do konia z zamiarem napaści. Mój wierzchowiec nie domyślał się niczego, spokojnie wystawał na uwięzi pod drzewem. Dobiegłem właśnie do podnoża wzgórka, kiedy koń spostrzegł, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża: nosorożec był już tylko o pięćdziesiąt kroków. Wnet zniżył głowę i rzucił się szalonym pędem na konia.

Przestrzeń dwustu metrów dzieliła mię od zwierza, ale linia strzału była taka, że mogłem ugodzić konia; a tu konieczność nagliła mię do działania stanowczego. Wypaliłem i spudłowałem. Jednakże kula uderzyła w ziemię przed samym łbem potwora: rozbryzgała piasek i okruchy skały, które mu zasypały oczy i zatrzymały go w chwili, kiedy miał już, już dosięgnąć konia. Wierzchowiec zyskał przez to na czasie, wspiął się, szarpnął silnie, zerwał cugle i pobiegł cwałem w kierunku naszego obozu. Nosorożec, oślepiony piaskiem, przez chwilę stał w miejscu, wstrząsając łbem gniewnie, a potem zawrócił w stronę, skąd przybył. Wyprzedziłem go, zabiegając bokiem, i przyczaiłem się za krzakiem. Pośpieszył kłusem, wzniósł głowę, jak gdyby chciał wypatrywać przyczynę porażki doznanej. Miałem go na odległość stu kroków i strzeliłem: kula ugodziła w łopatkę. W mgnieniu oka poskoczył ku mnie z zadartym ogonem,

ale nagle dostał widać zawrotu głowy, gdyż zrobił obrót w kółko, cofnął się krokiem wolnym i legł pod drzewem. Otrzymał widać ranę śmiertelną.

Po niejakim czasie nadszedł jego towarzysz, który spoglądał naokoło z niepokojem, chciał odkryć powód niebezpieczeństwa, a nie mógł go znaleźć; gąszcze zakrywały mię jak najlepiej. Wnet potem ranny zwierz dźwignął się i ruszył w drogę krokiem ciężkim, niepewnym; towarzysz podążył w jego ślady. Dopóki było można, śledziłem uchodzące zwierzęta i widziałem, w którym kierunku zniknęły. Teraz co tchu wysłałem Hassana, aby odszukał i przyprowadził mi wierzchowca — Tetela i wyprawił Tahera na szczyt pagórka, w celu przekonania się, czy nosorożce są jeszcze widzialne stamtąd. Gdyby ich bowiem nie było widać, znaczyłoby to, że przebywają w chróstach przeplatanych drzewami, u podnoża wzgórka.

Upłynęła dobra godzina, kiedy się zjawił Hadżi-Ali, prowadząc dwa konie. Postanowiłem dosiąść Agara i zacząłem natychmiast przyciągać popręgi siodła krajowego, a przeklinałem strzemiona, w których zaledwie się zmieścić może palec wielki u nogi. Atoli ku wielkiej radości ujrzałem Hassana cwałującego na Tetelu: przybywał właśnie z tej strony, gdzie nosorożce

zniknęły, i rzekł, tłumiąc głos w siebie: „Niech się pan śpieszy! Jeden niedaleko stąd leży nieżywy, a o parę kroków od niego drugi stoi pod drzewem“. Raźno wskoczyłem na siodło, wziąłem swój mniejszy, podręczny karabinek, a zaleciłem Hassanowi i Hadżi-Alemu pośpieszać za mną na koniach, aby mi w razie potrzeby mogli podawać broń nabitą.

Istotnie, jeden nosorożec leżał martwy, a drugi stał jeszcze tak, jak go Hassan widział. Spostrzegł nas odrazu, jednak nie ruszył się z miejsca, wyczekiwał mężnie i pozwolił mi podejść na pięćdziesiąt kroków. Trzeba tu oddać koniowi sprawiedliwość: mój Tetel na polowaniu wart był tyle funtów złota, ile ważył; szedł on niewzruszony, jak skała, można było nacierać śmiało na dyabła samego. Z miejsca, w którem się znajdował, nie mogłem strzelać; poleciłem więc służącym, aby okrążyli półkole i zwrócili na siebie uwagę nosorożca, który w takim razie zapewneby mi swój bok odsłonił. Jak przewidywałem, tak się stało. Strzeliłem, i zwierz ugodzony w łopatkę, zwalił się na ziemię. „Piękny strzał!“ zawołał Taher. Nosorożec wił się na ziemi w męczarniach konania, więc sądziłem, że otrzymał cios śmiertelny. Tymczasem nie tak było, kula bowiem strzaskała mu tylko łopatkę i to wywołało paraliż chwilowy, który

wkrótce przeminął. Zwierz powstał, puścił się cwałem; my też za nim uderzyliśmy w pogoń. Była to gonitwa pełna przeszkód nadzwyczajnych, wśród drzew, skał, gruzów kamiennych.— „Zwolna, Tetelu, zwolna!“ — mówiłem i ściągałem cugle, dopóki na dół nie zjechaliśmy z pagórka. Bo trzeba wiedzieć, że nosorożec, choć ranny, przebiegł pędem ów wzgórek aż do szczytu, a potem zbiegł w dolinę. Nic też dziwnego, że nas zostawił daleko poza sobą.

Byliśmy nareszcie na płaszczyźnie równej zupełnie, usianej tu i owdzie drzewami, które jednak wcale nie krępowały swobody naszych ruchów. Puściłem się teraz w cwał za zwierzem, który widniał w odległości może dwustu metrów, a wnet utracił przewagę, jaką pozyskał nad nami, kiedy się opuszczał z pochyłości pagórka. Ścigany, wykonał nagle zwrot ze zwinnością godną podziwienia i na nas się rzucił. Wcześnie się opatrzyłem i przez szybkie uskoczenie na bok uniknąłem spotkania. Kiedy już przebiegł, podążyłem za nim, trzymając się w oddaleniu kilku metrów. Gnaliśmy tak z półtorej mili, a nosorożec coraz to się odwrócił i uderzał na nas; ale zawsze jakoś szczęśliwie uszliśmy niebezpieczeństwa.Chociaż Tetel sunął jak chart, jednak zwierz ścigany, ile razy go już-już miałem dopędzić i dobrać się do jego

boku, stawał się istną błyskawicą. Z tem wszystkiem rana musiała mu dokuczać, gdyż zaczął utykać. Spostrzegłem w niejakiej odległości grunt piasczysty, ciężki do przebycia i byłem pewny, że nosorożec tam już zginie. Jakoż na drodze sypkiego piasku zwolnił biegu, a nogi grzęzły mu za każdym krokiem. Nareszcie odwrócił się, ale napaść jego była mniej już gwałtowna i gdym jej uniknął z łatwością, zwierz stanął nieruchomy, zwrócony do mnie swoim łbem straszliwym. Widok potwora, stojącego w postawie groźnej, wywarł wrażenie na nasze konie. Przestraszyła się głównie Gazela, klacz nadzwyczajnie lękliwa, a przeto niezdolna do wypraw myśliwskich. Jej wspinanie, wierzganie i chrapanie, zwróciło uwagę nosorożca, pobudzając go do napaści. Skorzystałem z chwili, zajechałem mu co żywo do boku i posłałem dwie kule. Runął odrazu jak ścięty, śmierć nastąpiła natychmiast.

Teraz pośpieszyłem do obozu, ażeby wyprawić ludzi z wielbłądami i sprowadzić zastrzelone zwierzęta. Widziałem w przejeździe, że na cielsku nosorożca naprzód zabitego, zgromadził się już tłum sępów, który wzrastał z każdą chwilą. Żarłoczne ptaki już wydarły zabitemu oczy, a niektóre pracowały usilnie, ażeby dziobami rozszerzyć jego ranę od kuli. Kilka marabutów stało z dumą i powagą wśród tej

zgrai łakomej, wyczekując chwili odpowiedniej do spełnienia obowiązków grabarzy. Ale cierpliwość ich wszystkich przechodziła tymczasem ciężką próbę, ponieważ bardzo twarda skóra zabitego, opierała się najsilniejszym uderzeniom dziobów.

Krokodyl.

Te gady z postaci są bardzo podobne do jaszczurek. Żyją w wodzie i na lądzie, ale woda stanowi ich żywioł ulubiony. Pływają wybornie, w czem je dzielnie wspiera ogon potężny. Karmią się mięsem i są nadzwyczajnie żarłoczne.

Rodzina krokodylowatych obejmuje kilka gatunków, z których trzy są najlepiej znane. Tak zwany *krokodyl nilowy* zamieszkuje w wodach Afryki; inny gatunek *gawial mudela* jest mieszkańcem Gangesu, ojczyzną zaś *aligatora* albo *kajmana* jest Ameryka. Starożytni Egipcyanie oddawali krokodylowi cześć boską, a Indusi dziś jeszcze uważają swego gawiala za zwierzę święte. A przecież gady te są prawdziwą klęską krain, w których żyją, ponieważ pożerają ludzi i zwierzęta domowe.

W całym Sudanie niema jednej wsi, gdzieby ktoś z żyjących nie pamiętał, że w takim a takim roku, krokodyl pożarł jednego z miesz-

kańców. Nilowy jest najdrapieżniejszy ze wszystkich, jakkolwiek żadnemu nie można dowierzać. Człowiek powinien tępić tego potwora wszelkimi sposobami. Prawda, że krokodyl nosi na sobie twardy pancerz z tarczy kościanych, ale ciało jego ma także i słabe strony: oczy, gardło, brzuch, miejsca przy osadzie nóg, gdzie kula celnie wysłana zawsze zrobi swoje. Myśliwy powinien o tem pamiętać, jeżeli się nie zaopatrzył w broń palną, z której kula przedziurawia i pancerz. Jednakże gad potworny ma życie trwałe i rzadko się zdarza, aby od jednej kuli został na miejscu.

Jeden z podróżników opowiada, jakoby Murzyni w Senegalu ważyli się nieraz nurkiem podpływać pod krokodyla i sztyletem zadawali mu w brzuch ciosy. Krajowiec jakiś z Saint-Louis był tak zuchwale odważny, że sobie robił z tego zabawkę, co mu się przez długi czas udawało. Aż nareszcie, jednego razu, krokodyl pochwycił go za nogę i uniósł. Na szczęście, ludzie będący na brzegu, spostrzegli walkę, szybko pośpieszyli z pomocą i ocalili junaka, który po tych zapasach na zawsze został kaleką.

U Murzynów tego kraju jest też w zwyczaju polowanie, wymagające wszakże odwagi niepospolitej. Kiedy mianowicie spostrzegą krokodyla w jakiejś miejscowości, gdzie jest za mało wody, ażeby mógł pływać, natychmiast

pierwszy lepszy obwiązuje sobie tęgo lewą rękę skórą wołową i z lancą w prawej idzie śmiało na spotkanie potwora. Za nim pośpieszają inni, uzbrojeni również w lance. Napadają oni na zwierzę, rażąc je w oczy, w gardło. Potwór tak zaskoczony otwiera paszczę straszliwą, ukazując liczne zębce, a działacz główny wpycha mu wtedy lewicę głęboko w gardło, co sprawia, że paszcza nie może się zawrzeć. Tymczasem ręka prawa jest w ruchu nieustannym i żwawo zadaje pchnięcia w oczy, gardło. Inni towarzysze także nie próżnują, i krokodyl ginie podziurawiony, jak sito w miejscach słabych.

Na lądzie poczynają sobie z nim jeszcze snadniej, jak można sądzić z opowiadania przyrodnika Adansona.

„Jeden z moich służących, a to niespodziewanie, spostrzegł krokodyla w zaroślach uśpionego, pod drzewem na brzegu rzeki. Zbliżał się cicho, na palcach, aby mu snu nie przerwać, i kiedy dotarł, zadał zwierzowi tak silne pchnięcie w szyję, że koniec noża wyszedł z drugiej strony. Krokodyl, raniony śmiertelnie, wił się, rzucał i uderzył ogonem Murzyna, który padł na ziemię. Dzielny człowiek nie stracił jednak przytomności ani odwagi: powstał co żywo i paszczę krokodyla okręcił szmatą, używaną przez Murzynów za osłonę dolnej części ciała. Zgiełk walki zwabił tam ludzi, z których

jeden wsiadł na krokodyla jak na konia i przytrzymywał szmatę okręconą na paszczy, inni czepiali się ogona. Podczas tego mój służący tak operował nożem, że oddzielił głowę od kadłuba".

Na obszarze Nilu dolnego krokodyl jest dziś rzadkością: wytępiono go naprzód tam, gdzie odbierał cześć boską onego czasu. Za to łatwo go spotkać na każdej rzece, której brzegi las dziewiczy pokrywa. Tam wytępienie jego nastąpi dopiero w czasach przyszłych, kiedy mieszkańcy porzucą swój prastary oręż i pierwotne sposoby łowów, a zaczną używać broni palnej. Ale daleko jeszcze do tego!

Krajowcy tu i owdzie zastawiają na krokodyla łapki. Wyczekują mianowicie chwili, kopiąc na drodze jego dół głęboki, który starannie nakrywają z wierzchu gałęziami a posypują ziemią. Przygotowawszy łapkę, płoszą zwierzę krzykiem i zgiełkiem. Krokodyl przestraszony rzuca się na drogę przebytą niedawno, usiłuje jak najprędzej dopaść do rzeki. Biegnąc z pośpiechem ogromnym, napotyka ów dół zdradziecki i zapada się weń razem z lekko narzuconą pokrywą. Pokonanie do reszty tak złowionego, nie przedstawia już trudności wielkich, a stanowi raczej zabawkę dla łowców.

Inni znowu okręcają na pniu drzewa linę mocną, a na drugim końcu tej liny przywiązują

hak żelazny i jagnię. Ponętę taką umieszczają tuż nad wodą. Bek owieczki sprowadza drapieżnika, który razem z ofiarą chwyta i hak w paszczę. Teraz krokodyl uczuwa ból, dławienie, zaczyna się rzucać, miotać, przez co hak tem głębiej przenika w ciało, tem dotkliwiej drażni. Łowcy zwolna popuszczają mu linę okręconą na drzewie i cierpliwie wyczekują chwili, ażeby wyczerpanego, nawpół martwego gada zbliżyć do brzegu, dobić i wyciągnąć z wody.

W podobny sposób polują, a przynajmniej polowali na kajmany przed niedawnym czasem, Murzyni w Karolinie, z tą tylko różnicą, że ponętę i wędę przywiązywali do łańcucha żelaznego.

Murzyni Florydy wychodzili na łowy w dziesięciu lub dwunastu, ścinali spore drzewo, okrzesywali je z gałęzi, a z jednego końca zacinali jako ostry pal. Potem już czatowali wytrwale, aby kajmana zaskoczyć na lądzie, zachodząc mu drogę od wody. Zwierz, na widok idących śmiało ku niemu ludzi, gotował się do obrony i otwierał paszczę; wtedy ci, którzy w kilku nieśli ów pal potężny, z nadzwyczajną zręcznością i siłą, wpychali go co tchu kajmanowi w gardło jak najgłębiej. Potwór dławiony i party, wił się po ziemi, a inni łowcy razili go ze wszystkich stron, dopóki nie zabili.

Jawańczycy też umieją łowić swego kro-

kodyla na ponętę. W tym celu przywiązują na końcu liny, lekko skręconej, hakowaty kawałek drzewa twardego, który otaczają padliną. Drapieżnik połyka chciwie ponętę, a nie może jej coś przełknąć; usiłuje przegryźć linę, która jest tak ukręcona, że załazi między zęby, i oprócz tego, hak tkwiący w gardle nie pozwala, aby się szczęki zawarły. Na udręczonego w ten sposób potwora wpadają łowcy należycie uzbrojeni i śmierć mu zadają. Mieszkańcy Syamu używają też często pierwotnych sposobów łowów na krokodyla: wędy i harpuna. W pierwszym razie za ponętę służy kaczka żywa, pod której brzuchem przywiązują kołek długi na dziesięć cali, dosyć gruby w środku, a po obu końcach ostro zakończony. Do tego kołka przytwierdzają linkę, lecz mocną, na drugim zaś jej końcu przywiązują kawałki bambusu, lub drewienko lekkie, mogące pływać na powierzchni wody jak korek. Umieszczają tę kaczkę na środku rzeki, gdzie ona rzuca się, wrzeszczy, niepokojona przez ów kołek, którego chciałaby się pozbyć. Krokodyl w jakiś czas spostrzega zdobycz, podpływa nurkiem i z pod spodu porywa ptaka, a z nim śpiczasty kołek przeznaczony do tego, aby się rozparł w żarłocznem gardle i ugrzązł. Teraz łowcy śledzą ruchy potwora udławionego, a daje im znać o nim bambus, pływający na powierzchni wody. Chwytają oni

ów bambus, przyciągają go zwolna do brzegu i, ma się rozumieć, lina ciągnie jednocześnie dławionego krokodyla z paszczą otwartą, usiłującego wykrztusić i wypluć kołek przeklęty. Jak tylko zwierz wzniesie łeb nad wodę, łowcy rzucają nań harpuny, strzały żelazne, osadzone na drewnianych rękojeściach, mających około pięciu stóp długości. Urządzenie harpuna jest takie, że rękojeść drewniana oddziela się od żelaza i, pływając po wodzie, wskazuje okolice pod wodą, gdzie zwierz przebywa. Kiedy krokodyl ma już w ciele kilka harpunów, słabnie, a wtedy wyciągają go na ląd i dobijają toporami.

Przebieg łowów z harpunami jest taki. Krokodyl przynajmniej co pół godziny musi wychylić głowę z wody, aby czerpnąć powietrza, i wtedy otwiera paszczę. Oto łodzie czółna czatują na tę chwilę i w mgnieniu oka sypią się z nich harpuny, które godzą w paszczę rozwartą. Że zaś Syamczycy słyną ze zręczności w tej sztuce, więc częstokroć niejeden pocisk trafia do celu. Rękojeść drewniana, jak wiemy, oddziela się od żelaza, pływa po wodzie i służy za znak, gdzie zwierzę rażone przebywa. Człowiek znowu, który trzyma w ręku linę harpuna, miarkuje z jej naręczenia z ruchów, kiedy mianowicie krokodyl opuszcza dno wody i zawiadamia o tem wszystkich łowców, ażeby byli gotowi. Głowa potwora znowu się ukazuje,

gdyż oddychać koniecznie potrzeba, a nowe harpuny lecą w paszczę. To trwa dopóty, dopóki łowcy sami nie uznają, że otrzymał już dosyć pocisków. Wtedy wyciągają go z wody i dobijają.

Z harpunem polują także w Afryce, o czem wspominaliśmy, opisując łowy na hipopotama. Ale ten sposób łowiecki ma różne swoje odmiany, jak się przekonać można z tego co następuje.

W porze, kiedy opadają wody rzek, a pojawiają się ławy piaszczyste, na których krokodyle wygrzewają w słońcu ciała i śpią, łowcy zabierają się do dzieła. Przedewszystkiem miarkują, gdzie jest miejsce zwykłego wypoczynku opancerzonego jaszczura, przywiązującego się nałogowo do jednego kąta. Stosownie do tej danej, kopią dół w piasku mogący ukryć człowieka, przyczem baczą na to, aby wiatr nie zdradzał obecności łowcy w dole i aby odległość dawała możność rzutu celnego. Biegły w swej sztuce myśliwy włazi do dołu i cierpliwie oczekuje przybycia krokodyla, a następnie jego drzemki. Za oręż służy tu grot żelazny, trójkanciasty, z wąsami, przymocowany do lekkiej drewnianej rękojeści za pomocą obrączki i do liny luźnie skręconej z dwudziestu lub trzydziestu sznurków mocnych. Krokodyl nie zrobił zawodu: wylazł z wody na ławę i zasnął.

Nasz łowca zrobił także, co do niego należało: rzucił pocisk zręcznie, przytem, z taką siłą, że grot przebił pancerz kościany i przeniknął w ciało na jakie cztery cale. Ostrze utkwione zaraz odpadło od rękojeści. Zwierz gwałtownie rzucił się do wody, walił wściekle ogonem wokoło, chwycił w paszczę linę i usiłował ją przegryźć; ale luźne sznurki zalazły mu między zęby i choć niektóre przeciął, inne krzepko trzymały. Rękojeść pływająca dawała wskazówkę o miejscu jego pobytu, jeśli przebywał w głębinach pomniejszych. Kiedy się puścił na wielkie tonie, wtedy inne drewienko dalej przywiązane na linie, zaznaczało jego ruchy i kierunek pobytu. Myśliwy wsiadł w czółno, podąża zwolna drogą, którą mu wskazują owe drewna pływające. To trwa przez czas jakiś, aż zwierz osłabnie a przytem nastręczy się brzeg podatny do wyciągnięcia z wody zdobyczy.

Krajowiec siedzący w czółnie łowi drewienko, pociąga je lekko ku brzegowi, a z niem linę i krokodyla. Bywa nieraz, że przy mocniejszem naprężeniu liny, a znaczniejszym oporze krokodyla, żelazo puszcza, wtedy zdobycz uchodzi. W przeciwnym razie, zwierz otrzymuje przy wylądowaniu nożem w gardło; albo, nawet bez tego, wyciągają go na brzeg, związują powrozem obie szczęki, następnie nogi założone na

grzbiet, i ubezwładnionemu rozbijają toporami kolumnę pacierzową.

Niektórzy Murzyni w Ameryce używają do łowów pętli, którą umieją zręcznie zarzucić na szyję kajmana, potem pojmanego wyciągają i zabijają. Indyanie Ameryki Południowej łowią go wędą, przywiązaną do drzewa nadbrzeżnego na łańcuchu i zaopatrzoną w przynętę z mięsa. Wszystkie te i do nich podobne łowy są jeszcze bardzo pierwotne, a dla krokodylów niezbyt groźne. Przekonywają one, że od dwudziestu pięciu wieków niewielkie zmiany zaszły na tem polu.

Według opowiadania Herodota bowiem, łowcy starożytni umieszczali w wodzie prosię z wędą, zmuszali je kijem do kwiku, ażeby zwabić żarłocznego potwora. Jak tylko krokodyl połknął ponętę zdradziecką, przyciągali go do brzegu, zamazywali mu oczy mułem i następnie śmierć zadawali.

Pliniusz opisuje myśliwych, którzy zuchwale uderzali na krokodyla w wodzie, zarzucali mu pętlę na szyję i wraz dosiadali jak konia. Jeżeli zwierz otwarł paszczę, zakładali mu natychmiast wpoprzek tęgi kołek, coś w rodzaju wędzidła, i jeździec na krokodylu wyjeżdżał na ląd wierzchem.

Niema chyba potrzeby udowadniać, że to jest bajka wierutna. — Gad ten bardzo obficie

rozpościera się na kuli ziemskiej, ponieważ jest mnożny, żyje długo, nie ma nieprzyjaciół groźnych z wyjątkiem człowieka, a człowiek walczy z nim w sposób pierwotny, mało skuteczny. Wiele i to stanowi, że korzyści z zabitego są bardzo nieznaczne.

Przez jakiś czas panowała moda butów i siodeł ze skóry aligatora. Widząc zyski, Indyanie rzucili się do łowów i ogromnie trzebili te potwory, zwłaszcza na rzece Czerwonej. Pokazało się jednak, że owe skóry są słabe, a przepuszczają łatwo wilgoć. Ochota do łowów zaraz ostygła.

Sudańczycy uważają za największy zysk z zabitego krokodyla gruczoły szczęki dolnej, bogatej w piżmo, którego kobiety używają jako pachnidło. Tłuszcz kajmanów służy za smarowidło do machin. Mięso krokodylów służy tu i owdzie za pokarm dla ludzi. Korzyści te jednak nie mogą iść w porównanie z zyskami, które przynosi polowanie na słonia lub nawet strusia.

Skoro mowa jest o krokodylu, należy wspomnieć i o ptaku zwanym przez Arabów „stróżem krokodyla“. Jest to siewka egipska, *hyas aegiptiaca,* która żyje w stosunku niejakiej zażyłości ze straszliwym gadem, ponieważ stanowi on jej pastwisko. Siewka znajduje na jego grzbiecie owady, pijawki, będące jej pożywie-

niem; ośmiela się nawet wydziobywać mu z zębów różne tkwiące w nich resztki, łowić na dziąsłach potwora muchy i komary. Naturalnie, na widok nadchodzącego człowieka ptak się porywa i wydaje zwykły okrzyk, co budzi ze snu krokodyla. Jeżeli zbliżający się człowiek jest myśliwy, to siewka w niwecz obraca jego zamiary. Szpaczek, *buphaga erythrorhyncha,* żyje w nieco podobnym związku z nosorożcem, słoniem lub i bydłem domowem, mianowicie jeśli te zwierzęta mają rany, na których muchy siadają i niosą jajka.

Struś.

Liczne bajki krążą o strusiu, powtarzane od czasów starożytnych z dobroduszną wiarą. Dawniej twierdzono naprzykład, że ptak ten karmi się głównie drzewem, kamieniami, żelazem, że połyka nawet węgle rozżarzone. Utrzymuje się dotąd dosyć powszechnie przekonanie, jakoby struś, włożywszy głowę w krzak lub piasek, był pewny, że zabezpieczył ciało przed nieprzyjacielem. Istotnie, ptak ten połyka kawałki drzewa, kamyki, blaszki, szkło, podobnie jak kury, ale przecież się tem nie żywi. Struś jest mieszkańcem pustyń afrykańskich, gdzie prowadzi życie koczownicze. Karmi się roślinami, owadami, jaszczurkami, wężami i możnaby powiedzieć ze względu na jego budowę olbrzymią, jest raczej wstrzemięźliwy niż żarłoczny. Posiada siłę mięśni nadzwyczajną, a przeto lekceważy sobie napad szakala, psa, hyeny. Szybki w biegu, silny, wytrwały, byłby na pustyni

wierzchowcem nieocenionym, gdyby się dał oswoić i ułożyć. Wprawdzie nie błyszczy on rozumem, ale też i nie jest tak głupi, jak go okrzyczano. Jest to ptak spokojny, nadzwyczaj ostrożny, czujny, towarzyski. Struś zwykle staje mężnie w obronie swych dzieci.

Krajowcy Arabowie bardzo często polują na tego ptaka w taki sposób: Zbiera się towarzystwo jeźdźców, gotowych do wyprawy zarówno uciążliwej jak zyskownej. W pochód idą także wielbłądy, zaopatrzone w różne zapasy żywności. Kiedy spostrzeżono strusia, należy głównie dbać o to, aby go nie stracić z oczu. Olbrzymi ptak, na widok jeźdźców, puszcza się, pędzi i niebawem zostawia ich daleko poza sobą. Przystaje atoli po jakimś czasie i z oddalenia spogląda na zbliżających się ludzi, jak gdyby drwił z ich powolności. Łowcy nadciągają, a struś znowu uchodzi całym pędem, bo jak, wiadomo, nie oszczędza on nigdy sił swoich. I teraz także przystaje, patrzy, zdaje się mówić: „Nie mam się czego obawiać“. To się powtarza wiele razy. Ponieważ myśliwi rozpoczęli te łowy o świtaniu, więc zanim upał nastąpi, struś ma ciągle przewagę nad nimi; niemniej jednak ta ciągła ucieczka i niepokój zaczynają go nieznacznie nużyć. W miarę zaś tego, jak słońce coraz bardziej dopieka, ptak omdlewa.

Jeźdźcy oszczędzali dotąd sił swoich koni i teraz rzucają się w pełnym cwale, dopędzają wyczerpanego do reszty strusia. Pierwszy, który go dopadł, zadaje z konia cios potężny w łeb pałką i powala ptaka na ziemię. Inni nadbiegają natychmiast, przecinają mu szyję, wkładają w ranę palec łapy, aby rzucając się w mękach konania, nie poplamił krwią piór cennych. Jak tylko ofiara wyzionęła dech życia, obdzierają ją ze wszystkiego co ma dla nich wartość, i prowadzą dalej polowanie, jeśli na to pozwalają siły koni i zapasy żywności. Jeździec na najdzielniejszym biegunie nie jest w stanie dopędzić strusia, który ma świeże siły do ucieczki.

W kraju Przylądkowym jezdny myśliwy również nie puszcza się nigdy od razu cwałem w pogoń za tym ptakiem. Oszczędza on ciągle swego wierzchowca i tylko śledzi z rozmaitych wzgórków uchodzącą zwierzynę. Dopiero kiedy zobaczy, że struś już chłodnie w zapale do biegu, że członki jego sztywnieją, wtedy wypuszcza konia, dopada i strzałem powala zdobycz pożądaną.

U Arabów wielkiej pustyni dwa są sposoby łowów na strusia: na koniach i z zasadzki. Polowanie w całem znaczeniu tego słowa odbywa się konno. Wyprawa cała trwa mniej więcej przez tydzień, a pora, która sprzyja takiemu

przedsięwzięciu, przypada na czas skwarów największych.

Podajemy więc tu nader zajmujący opis, skreślony przez wiarogodnego świadka tych łowów. Dziesięciu jeźdźców puściło się raz na wyprawę myśliwską. Każdy myśliwy zabrał z sobą służącego i wielbłąda, który dźwigał wory z wodą, jęczmień dla konia, zapasy daktyli, mąki, naczynia do gotowania i t. d. Jedyny oręż jeźdźca stanowiła laska zwyczajna z oliwki dzikiej, długa cztery do pięciu stóp i bardzo ciężka w jednym końcu. Wyruszyli w drogę wcześnie rano, a po dwóch dniach pochodu przybyli do okolicy pustynnej, o której wiedzieli już, że jest miejscem pobytu strusiów. Tutaj sprawdzili istnienie śladów i rozłożyli się obozem. Nazajutrz wysłano na zwiady dwóch służących, ludzi doświadczonej roztropności, w celu bliższego zbadania stanu rzeczy. Ci ludzie, mający za całe ubranie szmatę od pasa do kolan, wzięli w drogę wór skórzany z wodą, nieco chleba i zniknęli w pustyni. Błąkali się tu i owdzie, przezornie rozpatrując okolicę, aż nareszcie spostrzegli stado strusiów. Tacy ludzie są podstępni, jak koty dzikie, a ostrożni jak gazele. Położyli się na ziemi, robili przez jakiś czas spostrzeżenia, zapisując w pamięci wszystko, co należało spostrzedz. Kiedy to uczynili, jeden z nich pozostał w miejscu, drugi zaś

wrócił do obozu, gdzie myśliwi oczekiwali, aby zasięgnąć języka. Teraz jeźdźcy zwinęli obóz i prowadzeni przez przewodnika, który na własne oczy widział strusie, jako też miejsce ich pobytu, ruszyli całym taborem w dalszą drogę. Przybyli do ostatniej wyniosłości, po za którą mogli się jeszcze ukrywać, i tam pozsiadali z koni. Natychmiast wyprawiono dwóch ludzi biegłych, jakby szpiegów, w celu sprawdzenia, czy strusie pozostają ściśle w tem samem miejscu, gdzie je pierwotnie widziano. Tropiciele owi, pełzając na brzuchach jak węże, poczynili nowe spostrzeżenia i powrócili do panów. Myśliwi mieli już należyte wyobrażenie o kierunkach, o całem położeniu miejsca pobytu ptaków i stosownie do tego mogli na danym obszarze ułożyć plan polowania. Umiarkowanie napoili konie wodą, której zapasy w workach skórzanych znajdowały się na grzbietach wielbłądów. Następnie złożono wszystkie juki tam na miejscu i pozostawiono je bez straży. Każdy z jeźdźców wziął na konia wór z wodą, o czem się w pustyni nigdy nie zapomina, i wyruszono dalej. W ślady koni podążali służący na wielbłądach, z których każdy dźwigał teraz jedynie jęczmień potrzebny na popas dla konia i dla siebie, jako też wodę dla służby i zwierząt. Niebawem nastąpiła chwila najważniejsza w przebiegu łowów: myśliwi jezdni, ciągle jesz-

cze nie widząc strusiów i niewidzialni przez nie, zaczęli się rozstawiać, to jest opasali koło wielkie, w którego obrębie miało się odbyć polowanie. Służący wyczekiwali na to, dopóki się panowie nie rozstawią, co gdy nastąpiło, ruszyli prosto ku środkowi koła opasanego. Chodziło o to, aby się ptakom pokazali. Na widok zbliżającego się orszaku, strusie zaczęły pierzchliwie uciekać; ale oto napotkały jeźdźców, którzy je zawrócili do środka koła. Ptaki, naturalnie, nie zatrzymały się wewnątrz koła, lecz uderzyły na przeciwległy kraniec okręgu, gdzie także spotkały jeźdźców i musiały zawrócić. Usiłowania strusiów, aby się wyrwać na zewnątrz koła zaklętego i przeklętego, powtórzyły się wiele razy, a zawsze bez powodzenia.

Bieg nadzwyczajnie szybki, przestrach ogromny, zrobiły swoje: ptaki zmęczyły się, zaczęły upadać na siłach, czego niezawodny dowód stanowiło wznoszenie skrzydeł w górę. Myśliwi byli już pewni zdobyczy i powstrzymywali konie w zapędach. Każdy z nich wybrał sobie nareszcie jednego ptaka, pędził za nim, dopóki go nie doścignął bądź z tyłu, bądź z boku, a wtedy zadawał laską cios w głowę. Struś padał, a jeździec w tej chwili z konia zeskakiwał, podrzynał ptakowi gardło i wbijał w ranę pazur jego nogi, co tamowało krew upływającą i zapobiegało splamieniu pierza.

Nareszcie z martwej zdobyczy ściągnięto skórę, odcięto tyle mięsa, ile potrzeba wymagała, a resztę zwłok zawieszono na drzewie, aby wysuszone służyły za pokarm jakiemu głodnemu wędrowcowi.

W chwili, kiedy jeździec już dopędza swą ofiarę, jest ona zwykle tak wyczerpana z sił, że poganiając ją i kierując za pomocą laski, możnaby żywą do domu zapędzić.

Polowanie z zasadzki odbywa się znowu w tej porze, kiedy struś znosi jaja, więc około połowy listopada. Starano się przedewszystkiem znaleźć miejsce, gdzie deszcze spadły w ostatnich czasach. Na polowanie wybrało się pięciu jeźdźców, którym towarzyszyli dwaj służący na wielbłądach, dźwigających zapasy żywności, gdyż łowy takie trwają dwadzieścia dni i więcej. Wzięto też na wszelki wypadek strzelby, proch, ołów. Już na drugi dzień odkryto ślady strusia na piasku dosyć wilgotnym i myśliwi zbadali je bardzo uważnie. Te ślady krzyżowały się na wszystkie strony, a trawa wokoło była bardzo zdeptana. Łowcy wyprowadzili z tego wniosek, że w pobliżu gdzieś musi być gniazdo. Jakoż istotnie było. Odłożono czynności łowieckie do drugiego dnia, aby je załatwić rano, kiedy samica siedzi na gnieździe. Tymczasem zaś nie należało płoszyć strusia podpatrzonego na jajach, przeto myśliwi odciągnęli gdzieindziej na

nocleg. Nazajutrz o wschodzie słońca przybyli do roboty. Samica zaraz spostrzegła ludzi i krzątanie się w ich blizkości, skoczyła co tchu z gniazda, uciekła z właściwą sobie szybkością gdzieś w pustynię. Myśliwi z góry wiedzieli, że tak będzie i wiedzieli również, że ptak musi do jaj powrócić. W samej rzeczy, pobiegła ona do męża, który w niedalekiej odległości zaspakajał głód i jak tylko spostrzegł małżonkę zaniedbującą sprawy wychowania potomstwa, począł ją surowo karcić dziobem, zmuszać, aby wróciła do gniazda. Opierała się, zwlekała, nareszcie musiała uledz władzy wyższej. Łowcy zrobili tymczasem wszystko, co do nich należało.

W odległości dwudziestu kroków od gniazda, a po obu jego stronach, wykopali dwa doły tak głębokie, aby się tam stojący człowiek mógł ukryć. Do każdego z tych dołów wlazł strzelec doskonały, inni zaś nakryli go trawami pustyni tak, że tylko strzelba została na wierzchu.

Cisza głęboka panowała wokoło, kiedy struś wrócił do gniazda. Strzelcy ukryci w dołach zachowywali się jak najspokojniej, oczekując południa, gdyż o tej porze przychodzi struś i zwalnia swą towarzyszkę; zasadą zaś tego polowania jest, ażeby najprzód zastrzelić strusia. Prawie w samo południe przybył ojciec gniazda, uwolnił matkę od obowiązku i sam usadowił się na gnieździe. Rozpostarł skrzydła, usiłując

okryć niemi wszystkie jaja, i w tem położeniu uda jego tak się wydatnie ułożyły, że mogły służyć strzelcowi za cel dobry. Jeden z arabów ukrytych w dole, właśnie zmierzył w te uda i wypalił. Każdy inny strzał nie zapewnia powodzenia, bo tylko z przetrąconą nogą struś nie zdoła się ocalić. Myśliwi natychmiast poskoczyli do strusia zwalonego z gniazda, dobili go, plamy krwawe zasypali piaskiem i ciało starannie ukryli. O zachodzie słońca pojawiła się samica; nieobecność męża bynajmniej nie obudziła jej podejrzeń, może sobie wyobrażała, że już poszedł na paszę. Kiedy już usiadła na jajach, drugi strzelec zmierzył w uda i dał ognia z takiem samem powodzeniem jak pierwszy, który zastrzelił samca. Zabrano przytem jaja i rozpoczęto poszukiwanie innego gniazda. Polowanie musi mieć ściśle taki przebieg, jak tu przedstawiliśmy. Gdyby bowiem myśliwi, zabierający się do kopania dołów, spłoszyli z gniazda najprzód samca, ten pobiegłby do samicy i potem już żadne nie wróciłoby. Myśliwym chodzi zaś o to, aby zastrzelić obie sztuki.

Arabowie polują także z podobnych zasadzek tam, gdzie strusie przywykły gasić pragnienie: przy strumieniach i źródłach. Te łowy wszystkie są widać bardzo korzystne, skoro Arabowie Sahary, mówiąc o przedsiębiorstwie zyskownem, powtarzają przysłowiowo: „Opłaca

się, jak polowanie na strusia". Łowy z psami są w rzadszem użyciu, gdyż psy szarpią znużonego ptaka, nie oszczędzając jego piór, a przytem struś zabija psa z łatwością jednem kopnięciem nogi.

Polowanie Buszmanów w Afryce Południowej polega na podstępie. Człowiek idący na łowy przebiera się za strusia, to jest wkłada na kark rodzaj siodła ubranego w pióra strusie. Pochyliwszy się nieco, łowca taki trzyma w prawej ręce szyję tego ptaka wypchaną z głową jego na wierzchu, podczas gdy w lewej niesie łuk i strzały zatrute. Oprócz tego, maluje sobie nogi tak, aby ich barwa przypominała nogi strusia.

Niektórzy myśliwi umieją wybornie naśladować całe zachowywanie się i wszystkie ruchy ptaka do takiego stopnia, że częstokroć o kilkanaście kroków odległości, trudno jest odróżnić zdradliwy fałsz od prawdy. Ów ptak-człowiek naśladuje bowiem doskonale szczypanie trawy dziobem, zwracanie głowy już to w tę, już w inną stronę, spoglądanie podejrzliwe i pełne znaczenia, wstrząsanie piórami, chodzenie, bieganie. Wykonywając takie ruchy, łowca przyprawia ptaki o złudzenie i zbliża się do nich na odległość strzału. Kiedy strusie uciekają, widząc, że jeden z nich upadł rażony strzałą, ptak-człowiek usiłuje biedz, jak należący do stada. Niektóre atoli zaczynają niekiedy do-

bierać się do przybłędy i wtedy musi on unikać ich, aby go nie zwietrzyły. Jeżeli raz tak źle stanie, że ptaki zwęszą nieprzyjaciela, powinien natychmiast zrzucić siodło i zmykać, gdyż może bardzo łatwo przypłacić życiem sztukę udawania.

Goryl.

Zamieszkuje lasy zachodniego wybrzeża Afryki, począwszy mniej więcej od gór Kameruńskich do południowych krańców gór Talamongongo. Jest on z pomiędzy wszystkich małp największy, najsilniejszy i postacią najwięcej zbliżony do człowieka. Nie obawia się żadnego zwierzęcia, również człowieka; lecz napada, używając za oręż potężnych ramion i szczęk uzbrojonych w zęby straszliwe. Przytem miota niekiedy na przeciwnika orzechy, gałęzie. Lamparta goryle pokonywają z łatwością. Słoń musi im ustępować. Lew nawet, król zwierząt, nie odnosi tu zwycięstwa, zapewne dla tego, że zwykle miewa nie z jednym do czynienia.

Myśliwi, polujący na słonie, głównie się obawiają spotkania z „człowiekiem leśnym“. To też wśród krajowców za bohatera uchodzi ten, który pokonał goryla. Do nadzwyczajnego strachu przed tą małpą dużo się przyczynia nie-

znajomość, tajemniczość sposobu jej życia i obyczajów. Liczne a niesprawdzone bajki o gorylu są w obiegu u krajowców, którzy utrzymują naprzykład, jakoby goryle grzebały ciała zmarłych nieboszczyków swego gatunku.

W pierwszych latach drugiej połowy XIX wieku Amerykanin du Chaillu, podróżnik po po Gwinei, pierwszy podał dokładniejsze wiadomości o tej małpie. Ciągle obcując z Murzynami, du Chaillu nasłuchał się rozmów i opowiadań, których przedmiotem bywał goryl, niejednokrotnie uważany za istotę nadprzyrodzoną i ukrywającą duszę ludzką pod powłoką zwierzęcą.

Jednego razu—opiewa gadka murzyńska—goryl spotkał w boru lamparta, który był nadzwyczajnie głodny, nie zważał na przeraźliwe wycie małpy i przygotował się do napastniczego skoku. Właśnie w chwili owego skoku człowiek leśny pochwycił przeciwnika za ogon i kręcił nim w powietrzu z taką siłą, że urwany ogon pozostał mu w ręce, a lampart z przestrachu co tchu umknął. Teraz zwierz pozbawiony ogona popędził do swoich rodaków i opowiedział im o przykrem zajściu. Słysząc to opowiadanie, król lampartów począł wyć tak głośno i tak długo, dopóki się wszyscy jego poddani nie zbiegli z lasów. Kiedy przybyli i usłyszeli, co się stało, postanowili wywrzeć srogą zemstę za

krzywdę współbrata. Człowiek leśny na widok niezliczonego wojska lamparciego wyrwał z korzeniem drzewo i robił niem wokoło takiego młynka, że nieprzyjaciele nie śmieli się zbliżyć. Zmęczył się jednak nareszcie i kiedy go już siły opuściły, lamparty skoczyły nań tłumnie i śmierć mu zadały.

Podług innej znowu gadki, goryl używał przechadzki po lesie ze swą towarzyszką i dzieckiem, wtem stanął im na drodze słoń ogromny, który zawołał głosem piorunującym.—„Ustąp bo te bory do mnie należą!“ — Goryl rozśmiał się pogardliwie i odrzekł:—„Ja, człowiek leśny, panuję tutaj!“ — Potem kazał usunąć się żonie z dzieckiem, a sam złamał wielkie drzewo i tak niem okładał słonia, że zabił.

Od bajek przejdziemy do rzeczywistości. Pewnego dnia du Chaillu, w towarzystwie mężczyzn i kobiet z pokolenia Mbondemos, zwiedzał lesistą okolicę górską i przybył do miejscowości, gdzie dawniej — jak mówiono — była wieś, a dziś rosła dziko zwyrodniała trzcina cukrowa. Właśnie tutaj krajowcy wskazali mu trzcinę podeptaną, zmiażdżoną i gdzieniegdzie pożutą; przytem jedni na drugich spoglądali porozumiewawczo, powtarzając: „nżena“ co znaczyło goryl. Rzeczywiście, świeże ślady tej małpy świadczyły o niedawnym jej pobycie tutaj na popasie. Niebawem odkryto i odciski stóp,

przemawiające za tem, że kilka sztuk musiało tam przebywać. „Serce biło mi silnie—mówi du Chaillu — na myśl spotkania zwierzęcia, o którego sile, przebiegłości i dzikości nasłuchałem się już tyle od krajowców“. Oddalono z orszaku kobiety potrwożone, a mężczyźni bacznie opatrzyli strzelby. Kiedy myśliwi zeszli z góry i dotarli do granitowych odłamów, znaleźli tam zwaloną, butwiejącą kłodę drzewa, a obok niej znowu ślady stóp gorylowych. Przypuszczano, że zwierzęta najprawdopodobniej ukrywają się wśród owych odłamów skalistych, tworzących jakby fortecę. Należało je więc otoczyć łańcuchem strzelców, którzy się też natychmiast rozdzielili i jedni zaczęli skały obchodzić ze strony prawej, drudzy z lewej.

Cóż, kiedy chciano objąć za wielkie koło... Wśród powszechnego ożywienia myśliwych, małpy spostrzegły ich, i zanim zamknięto łańcuch, rozległy się okrzyki nawpół dzikie, nawpół jakby szatańskie.

Strzelcy z oddalenia widzieli cztery młode sztuki znikające w gęstwinie. Te goryle uciekające sprawiały wrażenie ludzi, którzy uchodzą pośpiesznie, aby ocalić życie: postacie pochylone z głowami posyłającemi oczy na wszystkie strony. Mimowoli ów okrzyk nawpół ludzki i sposób ucieczki narzucają każdemu objaśnienie, dlaczego krajowcy zowią tę małpę „leśnym

człowiekiem". Cały zastęp myśliwych dał ognia, ale strzały jakoś chybiły i zwierzęta uszły. Ścigano je przez czas jakiś z wielką zawziętością; atoli „ludzie leśni" odznaczają się zwinnością nadzwyczajną, a przytem w boru istotnie są jak w domu.

Potem przez kilka dni z rzędu du Chaillu i jego przyjaciele Mbondemos napróżno przetrząsali gąszcze, nigdzie ani śladu goryla. Nagle raz, podczas takiej wycieczki, któryś z myśliwych zwrócił uwagę towarzyszów na osobliwy zgiełk dochodzący z oddalenia, jakby trzask gałęzi łamanych. Nareszcie myśliwi spostrzegli poprzez liście, uginające się gałęzie i drzewa młode, zwierza straszliwego, który widocznie zrywał owoce, aby głód zaspokoić. Po chwili, wśród ciszy borów dziewiczych, rozległ się przerażający krzyk goryla. Chrósty się gwałtownie rozwarły i myśliwi ujrzeli przed sobą olbrzymiego goryla. Przez gąszcze sadził on na czworakach; w pobliżu ludzi stanął wyprostowany, ukazał się zuchwale w całej okazałości, na odległość jakich może piętnastu kroków. Było to ogromne cielsko, wysokie na sześć stóp, szerokie w barkach, o ramionach nadzwyczajnie muskularnych, istny potwór. Jego wielkie bure oczy dziko i groźnie połyskiwały, twarz miała wyraz prawdziwie szatański. Widok myśliwych nie przestraszył go bynajmniej. Stał

w miejscu, ogromnemi pięściami walił w pierś, która wydawała dźwięki przypominające bębnienie. Jest to sposób jego wyzywania nieprzyjaciela do walki. Oprócz tego nieustannie wydawał ryki wzbudzające przestrach. Ryk ów rozpoczyna się od szczekania, głosu właściwego psom rozjuszonym, a kończy się mrukiem ponurym, przypominającym huk grzmotu odległego. Oczy jego zapalały się coraz silniejszym płomieniem. Krótkie włosy na szczycie czaszki zjeżyły się i były w szybkim ruchu na chwilę, kiedy ukazywał kły potężne i ryczał. Wyglądał straszliwie, niby jakaś postać fantastyczna, jedna z tych, któremi dawniejsi malarze zapełniali czeluście piekła. Zbliżył się na parę kroków, stanął, przykucnął na zadzie, ryknął. Jeszcze postąpił tak, że odległość między nim a strzelcami wynosiła już tylko dziesięć kroków. Teraz znowu począł ryczeć, waląc się pięściami gwałtownie w piersi. Myśliwi nie mogli dłużej wyczekiwać; strzały huknęły i potwór runął na ziemię do góry grzbietem, wydając chrapliwe głosy konania.

Później znowu się zdarzyło, że du Chaillu, będąc na polowaniu, posłyszał w oddaleniu głos, który mu się wydawał być grzmotem odległym. Że przywidywał burzę, więc pośpieszał, aby się schronić pod poblizkie drzewa hebanowe, ale niebawem powziął przekonanie, że mniemany

huk grzmotu jest to głos jednego z goryli, który przyzywa drugiego. Na wezwanie, wygłoszone owym rykiem, wnet nastąpiła odpowiedź—ryk nieco łagodniejszy. Echa oddalały te głosy ponure, przenosząc je od góry do góry, a cały las trząsł się od huku. Nasz podróżnik co żywo zmienił nabój w strzelbie (wyszedł z zamiarem polowania na ptactwo) i podążył w kierunku słyszanego ryku. Głos goryla i jego bębnienie po piersi, dały się słyszeć od czasu do czasu, i coraz wyraźniej. Naraz du Chaillu posłyszał trzask łamanych gałęzi i wnet potem spostrzegł wśród gąszczów niewielkie drzewo gwałtownie wstrząsane, a następnie upadające. Zwierz może i przeczuwał niebezpieczeństwo, gdyż już nie ryczał, zachowywał się bardzo spokojnie. Kiedy nareszcie myśliwy przedarł się przez gąszcze, dotarł do miejsca, goryla tam już nie było.

Podróżnik amerykański, którego tu przytaczamy, upewnia, że goryla można słyszeć z odległości trzechmilowej, a bębnienie pięściami po piersi—na odległość mili. Brehm w swem dziele znakomitem: „Życie zwierząt“ podaje to w wątpliwość, jakkolwiek przedstawia du Chaillu jako jedyną dziś powagę pod względem spostrzeżeń nad gorylem.

Znowu w kilka dni później du Chaillu dowiedział się od krajowców, że widziano kilka

razy w boru człowieka leśnego, i natychmiast przedsięwziął poszukiwania. Przez kilka godzin wałęsał się po lesie w towarzystwie krajowca Gambo, kiedy nagle w wąwozie ciemnym ujrzał naprzeciw siebie dwa olbrzymie goryle. Zwierzęta już go były wprzód spostrzegły, pierwszy wydał okrzyk trwogi i co tchu zniknął w lesie. Zato drugi wcale nie okazywał chęci do ucieczki, powstał zwolna, przyglądał się tym, którzy mu zakłócili spokój i ryknął wściekle, aż ściany wąwozu zadrżały. Myśliwi ustąpili na bok, oczekując napaści.

Potwór, widziany w półświetle wąwozu, straszliwie się przedstawiał: oczy jego gorzały ciemno-czerwonym ogniem, a pysk, wykrzywiony i pomarszczony w szale wściekłości, nadawał mu wyraz straszny i zarazem wstrętny. Zbliżał się krokiem urywanym, powstawał co chwila, bębnił na piersiach, które brzmiały jak skrzynia naciągnięta skórą wyprężoną. Wydał z siebie krótkie szczekanie, a potem nastąpił ów ryk, który już opisywaliśmy.

Dwaj myśliwi stali na stanowiskach przez jakie trzy ogromne minuty, wyczekując odpowiedniej chwili do dobrego strzału. W odległości ośmiu kroków potwór wzniósł głowę, ryknął, a pięściami walił się w piersi. Zabierał się właśnie, aby przystąpić bliżej, kiedy dwa strzały huknęły; zwierz zachwiał się i padł do góry

grzbietem. „Był to najstarszy i największy z gorylów, jakie widziałem — mówi du Chaillu. — A Gambo, dzielny myśliwy, choć człowiek jeszcze nie stary, widział nie wiele tęższych“. Wysokość zabitego wówczas goryla obliczono na pięć stóp i dziewięć cali.

Inne znowu polowanie tak się odbyło. Było to rano, po nocy, podczas której burza gwałtowna pogasiła ogniska biwaku i nadzwyczajnie znękała podróżnych. Wtem dał się słyszeć głos znamienny goryla, i nasz podróżnik natychmiast zapomniał o wszelkich dolegliwościach. Żwawo połknął filiżankę kawy, zagryzł sucharkiem, poczem puścił się na wyprawę. Przebył ćwierć mili, i ryk się powtórzył. Zwierz znajdował się w pobliżu, a krzaki, które się gięły i rozstępowały, stanowiły najlepszy dowód, że nadchodzi, ponieważ torował sobie drogę przez gąszcze. Myśliwi stanęli w milczeniu, ażeby go przypadkiem nie spłoszyć. Ta przezorność była zbyteczna, gdyż człowiek leśny nie miał zamiaru uciekać. Jak tylko ich spostrzegł, wzniósł się na dwóch łapach, postąpił kilka kroków, stanął, przysiadł na zadzie, bił się w piersi pięściami, ryczał. Znowu powstał, zrobił kilka kroków naprzód, znowu się zatrzymał i otarł paszczę, aby ryknąć. Był w odległości dziesięciu kroków, przeto du Chaillu postanowił z nim skończyć i strzelił. Kula ugodziła goryla w środek piersi,

co sprowadziło jego upadek do góry grzbietem. Małpy te mają życie nietrwałe i prędko umierają.

Nastąpiło jeszcze inne spotkanie, także zwycięstwem uwieńczone, co tak się stało: Goryl zapowiedział rykami swoję obecność. Zaczęto poszukiwać go i znaleziono po upływie niespełna godziny. I ten także na widok ludzi dostał napadu wściekłości. Śmiało szedł ku myśliwym, wydając ostre urywane szczekanie. „Jego sposób zbliżania się—powiada du Chaillu—dostarczył mi nowego dowodu, że dłuższe utrzymywanie się w postawie wyprostowanej sprawia gorylowi trudność. Krótkie i wątłe stosunkowo nogi nie posiadają siły dostatecznej, aby unosić ogrom jego ciała; zwierz ugina się pod tym ciężarem, a chód jego jest rodzajem wahania się, któremu długie ręce pomagają do zachowywania równowagi“. Po dwakroć zasiadł w drodze, aby ryczeć, jak gdyby rozumiał, że stojącemu zabrakłoby siły potrzebnej do wydania z siebie dźwięków pełnych.

Du Chaillu szedł na czele innych myśliwych, ponieważ mógł pokładać zaufanie w swojej strzelbie, gdy nadchodziła chwila stanowcza. Oczekiwał zbliżenia się goryla na dziesięć kroków, co gdy nastąpiło i zwierz znowu przysiadł, aby ryknąć, strzał huknął i ugodził celnie. Był to młody samiec, którego wzrost już doszedł do zupełnego rozwoju. Wielkie kły, ogromne

mięśnie ramion i piersi, cała budowa świadczyły o sile olbrzymiej. „Rzecz dziwna—wyznaje du Chaillu — wobec goryla zabitego nie zdołałem nigdy zachować obojętności myśliwego, a tem bardziej, uczuwać zadowolenia z dobrego strzału. Zawsze mi się zdawało, że zabiłem istotę potworną wprawdzie, jednakże mającą w sobie coś ludzkiego. Wiedziałem, że to jest błędne, a przecież nie mogłem stłumić swego uczucia“.

Łowy na goryla nie zawsze kończą się tak szczęśliwie, jak powyżej opisane. Jednego razu nasz podróżnik przebiegał bór w towarzystwie krajowców myśliwych. Któryś z tych towarzyszów jego, był tak nieroztropnie odważny, że sam jeden zapuścił się w tę stronę boru, gdzie miał nadzieję spotkać leśnego człowieka. Godzina już upłynęła od chwili, kiedy go stracono z oczu, gdy nagle posłyszano w blizkości wystrzał, potem drugi. Myśliwi pobiegli za głosem strzału, pewni, że znajdą łup nowy. Tymczasem po lesie rozległ się ryk przeraźliwy, co było złą wróżbą. Du Chaillu i Gambo przyśpieszyli kroku, miotani przeczuciami złowieszczemi, które ich tym razem nie zawiodły. Poszli niedaleko i znaleźli towarzysza w kałuży krwi leżącego. Miał on wyrwane trzewa z brzucha rozdartego, a obok niego leżała strzelba z kolbą zmiażdżoną, z lufą pogiętą, spłaszczoną, mającą na so-

bie wyraźnie ślady zębów goryla. Nieszczęśliwy człowiek żył jeszcze. Zrobiono co się dało: umieszczono trzewa w brzuchu, zawiązano ranę i skrzepiono omdlałego gorzałką. Odzyskał przytomność, mógł mówić, jakkolwiek z trudnością. Słabym głosem opowiedział, że miał właśnie do czynienia z samcem starym i nadzwyczajnie srogim. Strzelił do niego z odległości dziesięciu kroków; ale że w lesie było ciemno, więc nie mógł dobrze wycelować i tylko zranił potwora. Ranny goryl wśród bębnienia na swych piersiach skoczył do niego zapalczywie. Myśliwy, cofając się zręcznie, chciał zyskać tyle czasu, aby nabić strzelbę, czego też dokonał z niezmiernym pośpiechem. Ale w chwili kiedy się już składał do strzału powtórnego, człowiek leśny potężnem uderzeniem wytrącił mu broń z ręki i strzał poszedł w powietrze. Teraz goryl ryknął przeraźliwie, pochwycił człowieka jakby maleńkie niemowlę, przytrzymał go jedną ręką, a drugą wygarnął trzewia, i tak wypaproszonego rzucił na ziemię. Z kolei pochwycił strzelbę, pomiażdżył ją między szczękami, o ile mógł, i odszedł.

Ten zwierz ma zwyczaj zabijania przez wydarcie trzewów, poczem zaraz opuszcza ofiarę i znika w lasach. Przeniesiono biedaka do obozowiska, gdzie krajowcy wyprowadzili wniosek, że ów goryl to był zły człowiek, przemie-

niony w goryla, i jaki taki powtarzał: „O, tego nikt nie pokona“!

A jednak nazajutrz właśnie ten sam goryl zginął od kuli; ale i ranny człowiek także wyzionął ducha. Jak widzimy, liczne goryle padły z ręki podróżnika amerykańskiego, który nareszcie zapragnął posiąść koniecznie młode zwierzę, aby lepiej poznać obyczaje tej małpy. Kiedy raz w pięciu przebywali bór, posłyszeli głos małpięcia, które przyzywało matkę. Głos się powtarzał i zastęp myśliwych z strzelbami gotowemi do strzału pośpieszył w tym kierunku. Rozmaite wskazówki kazały mniemać, że i matka znajdowała się niedaleko; co więcej, domyślano się także obecności samca w tamtej okolicy. Wszystko to razem wzięte czyniło wyprawę niebezpieczną, ale dzielni myśliwi nie wahali się na chwilę. Szli naprzód w głębokiem milczeniu, powstrzymując oddech. Naraz o kilka kroków przed nimi krzaki się wzruszyły i spostrzegli gorylka, który siedział i spokojnie się posilał. Dosyć blizko od niego siedziała matka i także jadła. W chwili, kiedy myśliwi podnieśli strzelby, spostrzegła ich, zdradziła jakiś niepokój, ale strzały natychmiast ją dosięgły i padła martwa. Na huk wystrzałów małe rzuciło się do matki, objęło ją ramionami i legło na jej łonie. Odgłosy tryumfu strzelców sprawiły, że się zer-

wało, wylazło pośpiesznie na szczyt drzewa i tam zaczęło wyć żałośnie.

Murzyni byli w niemałym kłopocie, ponieważ ani nie chcieli narażać się na ukąszenia małpięcia, ani nie mogli strzelać, skoro chodziło o żywego jeńca. Postanowili nareszcie ściąć drzewo i w chwili kiedy upadnie, zarzucić płachtę na głowę zwierzęcia. Zrobili tak z powodzeniem, chociaż jeden otrzymał ciężkie ukąszenie w rękę, a inny zadrapanie w udo. Malec, pomimo dosyć nikłej postaci i wieku młodziutkiego, odznaczał się siłą zadziwiającą i nie można było zapanować nad jego wybuchami wściekłości. Aby go zabrać z lasu, musiano szyję zuchwalca umieścić w dosyć ciasnych widełkach żerdki i prowadzić z lasu w oddaleniu od ludzi, których ciągle chciał kąsać, drapać. Cała ludność wsi murzyńskiej była w ruchu, gdyż każdy pragnął widzieć tego wściekle porykującego gorylka. Małe jego oczka połyskiwały dziko, upatrując, ażeby zarwać kogo pazurem lub zębem.

W parę godzin przygotowano mu chatkę z bardzo mocnych bambusów, o szczeblach tak rozstawionych, aby małpa mogła widzieć wszystko, będąc sama widzialną. Był to młody goryl, który podług zdania krajowców, nie skończył jeszcze trzech lat życia. Twarz i dłonie—

nagie, czarne; oczy mniej głęboko zapadłe niż u starych. Czupryna jego zaczynała się od brwi, na wierzchołku czaszki miała ubarwienie brunatno-czerwonawe, a opuszczała się w zaroście po obu stronach twarzy do szczęki dolnej, tworząc jakby bokobrody. Na wardze górnej porastał włos rzadki, gruby. Futro na grzbiecie miało barwę szarą, a najdłuższy włos porastał na ramionach. W klatce zwierzę to siedziało przyczajone, trzymając się odległego kąta; ale na widok człowieka zbliżającego się do szczebli ryczało, podskakiwało zapalczywie. Du Chaillu podszedł i jakkolwiek szybko odskoczył, gorylek napadł na szczeble i zdążył w mgnieniu oka urwać nogą szmatę z jego surduta.

Postarano się o owoce będące ulubioną potrawą gorylów i wstawiono do klatki naczynie z wodą. Drugiego i trzeciego dnia niewoli dzikość małpięcia wybuchała jeszcze gwałtowniej: więzień wykonywał szalone ewolucye i ryczał przeraźliwie, a swoją drogą miał apetyt dobry. Na czwarty dzień udało mu się wyrwać dwa pręty klatki i umknąć w chwili, gdy go wcale nie strzeżono. Murzyni rzucili się natychmiast na poszukiwania, tymczasem du Chaillu wykrył obecność zbiega w izbie pod swojem łóżkiem i czemprędzej zarządził obławę dokoła chaty. Widok czarnych twarzy zawsze go

doprowadzał do wściekłości, ale teraz uwagę jego zajęły różne przedmioty będące w izbie i zaczął je z ciekawością oglądać. Du Chaillu skorzystał z chwili dobrej, otwarł nagle drzwi i rzucił nań sieci. Natychmiast jeden z krajowców chwycił go za kark, dwaj inni wzięli pod swą opiekę łapy przednie, a jeszcze inny, tylne. Czterej ludzi ponieśli więc rzucającego się i ryczącego gorylka do klatki, już teraz naprawionej. Zachowywał się ciągle tak, że trzeba było wątpić o oswojeniu.

W piętnaście dni po tej ucieczce, znowu wygryzł pręt klatki i uciekł. Stu pięćdziesięciu ludzi skoczyło w pogoń i niebawem otoczyło zbiega. Zaczął wyć wściekle i śmiało się rzucił na jednego z obławników, który z przestrachu upadł na ziemię. Ta okoliczność była niespodzianką dla goryla, zmieszała go widocznie; wówczas to rzucono nań natychmiast sieci. Obostrzono mu teraz więzienie i trzymano w klatce na łańcuszku. Brał się na chytre podstępy. Kiedy mu naprzykład podawano żywność z ręki, spoglądał wtedy w twarz człowieka, a jednocześnie i nieznacznie zbliżał nogę, ażeby nią zarwać swego karmiciela.

Postawiono mu w klatce beczkę do połowę usłaną sianem i odrazu zrozumiał użytek: kładł się tam jak w gnieździe, brał w garści

siano, nakrywał się niem z wierzchu. Atoli dziesiątego dnia po próbie drugiej ucieczki zmarł niespodziewanie. Nie lepiej poszło z innymi młodymi gorylami, które tu Chaillú usiłował wychować i oswoić.

Bizon.

Bizon amerykański jest to wół olbrzymi, bardzo podobny z postaci do żubra europejskiego, który dawnymi czasy żył dziko w lasach całej Europy. Niedobitki ostatnie wytępionego już żubra troskliwie przechowują się dzisiaj pod opieką rządu w puszczy Białowiejskiej. Ojczyzną bizona jest Ameryka Północna, gdzie on zmienia miejsce pobytu, odbywając wędrówki z północy na południe i odwrotnie, stosownie do pory roku. Liczne niebezpieczeństwa, jakim tutaj podlega życie tych zwierząt, naprowadzają na domysł, że dni ich istnienia na kuli ziemskiej są policzone: bizon w niezadługim czasie podzieli los żubra. Każda ciężka zima dziesiątkuje te zwierzęta. Niedźwiedź szary, główny drapieżnik tamtych krain, większy i silniejszy od misia brunatnego, napada odosobnione sztuki i pożera. Gromady wilków zgłodniałych ciągną za ich stadami i przy każdej sposobności

tępią młodzież. Ale najgłówniejszym nieprzyjacielem, jak i w stosunku do innych zwierząt, jest człowiek: Indyanin czerwonoskóry i człowiek o twarzy białej.

Biali przybysze, jak się zdaje, wydali hasło zagłady na bizona, wyciągając obfite korzyści z łowów na tę zwierzynę okazałą. Indyanie, sami goniący ostatkami bytu, pochwycili żądnie hasło i wypowiedzieli bizonowi wojnę zniszczenia. Nie pomyśleli o tem, że w taki sposób pozbawiają się właśnie ostatniego środka do życia, który im jeszcze pozostał w śpiżarni przyrody.

Zagłada nieuchronna oczekuje bizona, a w ślad za nim musi zaginąć Czerwonoskórca, a pozostaną miliony wilków zgłodniałych, które w nowych warunkach będą plagą pogranicznych krain rolniczych. Wtedy człowiek biały zabierze się i do wilków, wytępi je również i zostanie panem wyłącznym całego obszaru. Dzisiaj tymczasem trwa walka zawzięta: człowiek czerwonoskóry, mający zginąć, przyśpiesza swą zagładę, tępiąc bizona. Indyanin nie wiele dba o jutro, idzie za popędami chwili i jako człowiek, który w usposobieniu swem nie wyrósł z fazy życia łowieckiego, jest uosobieniem prześladowania namiętnego, nie znającego żadnych granic. Ci ludzie, których dzikość w okrucieństwie przewyższa zwierzęcą, posiadają nadto wszelkie przymioty łowcy pierwotnego: chytrość,

odwagę nieustraszoną, ciało zwinne i zahartowane. Dosiadają koni wytrwałych, złowionych na arkan w stepie, i na równinie dościgają wszelką zwierzynę. Taki łowca chełpi się z tego, jeżeli w najszybszym cwale umie wypuszczać z łuku strzały celne, rażące już tę, już inną sztukę całym pędem uchodzącego stada. Poluje się wprawdzie dla korzyści, co jednak nie przeszkadza ludziom wkładać w sztukę łowiecką całego zapału i poszukiwać sławy na tem polu.

Dziki łowca zrzuca z siebie wszelkie ubranie, na konia nie wkłada siodła, unika wszystkiego, co stanowi ciężar zbyteczny. Krępuje tylko szczękę dolną wierzchowca linką rzemienną, na jakie czterdzieści stóp długą, która mu w potrzebie zastępuje miejsce uzdy. Koniec tej linki, rzucony poprzez szyję konia, wlecze się po ziemi i w razie upadku pozwala jeźdźcowi przytrzymać bieguna, zbytecznie nieraz rozszalałego. Człowiek nagi, przygarbiony, z włosem rozwianym, z wzrokiem jastrzębim, utkwionym w upatrzoną już zdobycz, z okrzykiem dzikim, pędzi jak szatan, który dosiadł burzy. W lewej ręce trzyma łuk i tyle strzał, ile ich garścią objąć zdoła, w prawej kańczug ciężki, którym nielitościwie smaga konia i nagli, aby co rychlej dotrzeć do boku jakiejś tłustej krowy lub bizona młodego. Pojętny biegun zdaje się zgadywać myśl swego pana i rwie w kierunku, gdzie

on wzrok wytęża, i dopędza sztukę wybraną. Warknęła cięciwa łuku, strzała aż po pióra utkwiła w słabiznach ofiary doścignięte j i koń w tej samej chwili na bok odskoczył. Zwrot to szczęśliwy i w samą porę wykonany, gdyż zwierzę zranione poskoczyło wściekle, godząc rogami w napastnika, który w mgnieniu oka zniknął mu ze wzroku i już dopędza inną upatrzoną sztukę. Łowy te suną przez równinę z szybkością wichru, ziemia drży pod stopami rozhukanych zwierząt, okrzyki dzikiej gonitwy rozdzierają powietrze.

Od czasu do czasu jakaś sztuka oddziela się od stada, pozostaje na tyłach, omdlewa, pada: wkrótce na stepie niezmiernym, pokrytym wyschłemi białemi czaszkami, będzie bielała jeszcze jedna czaszka więcej, gdyż jest to bizon śmiertelnie raniony. Polowanie wre dalej, huczy, a liczba żywych zmniejsza się nieustannie.

Nietylko skazani na zagładę giną. Oto jeden z łowców zranił bizona olbrzymiego i uważał za konieczne dodać jeszcze cios nowy: drogo zapłacił za tę pokusę wojowniczą. Olbrzym odwrócił się nagle i z łbem pochylonym ku ziemi wykonał skok, który podszepnęła wściekłość rozpaczy ostatniej. Koń chrapnął, wspiął się, żachnął, strząsnął z grzbietu pana. Zwierz rozjuszony jednem uderzeniem łba przygwoździł jeźdźca do ziemi, rogiem prześwidrował mu

pierś i tak nadzianego wyrzucił w powietrze. Przystanął, wydał mruk ponury, spojrzał za stadem swojem, które było dość daleko, i upadł na ziemię, aby skonać o kilkanaście kroków od martwego już wroga. Na całej drodze, kędy szalała burza tych łowów wściekłych, leżały ogromne ciała bizonów: jedne skostniałe, pozbawione już tchu życia, inne drgające w mękach konania.

W oddaleniu słychać jeszcze wrzawę; ale konie łowców, wyczerpane gonitwą, folgują w biegu, ustają, nie mogą sprostać stadu bizonów, które ciągle rwie naprzód z szybkością nadzwyczajną. I jeźdźcy, choć ogromnie wytrwali, upadli na siłach, i zadyszani, uzbrojeni, pragną wytchnienia. Całe to szczęście prześladowanych, że nieprzyjaciel także się nuży i z sił opada. Jest cicho na wielkim stepie. Ustały łowy zgiełkliwe, a w ciszy następuje drugi akt dramatu.

Żony łowców dzikich, uzbrojone w noże ostre, przybyły z dziećmi na plac boju. Radość ożywia niewiasty czerwonoskóre, gdyż w wigwamach niema dostatku, a nierzadko bywa nędza głodowa. Łup dzisiejszy, bardzo obfity, stanowi zapowiedź wielu sutych uczt rodzinnych, jako też zysków ze sprzedaży tego, co będzie zbywało. Kobiety idą po drodze przebiegu łowów i odnajdują tutaj ofiary poległe z ręki mę-

żów. Pierwszą ich czynnością jest zdjęcie skóry, która odgrywa rolę ważną w życiu Indyanina: służy na odzież, pościel, pasy, obicie namiotu, czółna, a z porastającej na niej grzywy głowy i szyi kręcą sznury. Następnie, kobiety owe odrzynają nieżywym bizonom języki, stanowiące powszechnie znany przysmak; oprócz tego, wykrawają najlepsze kąski mięsa i z całym tym łupem wracają do wigwamów, gdzie tną mięso na paski wązkie i suszą na słońcu tak zwany „pemmikan“.

Trzeci i ostatni akt dramatu odgrywa się wtedy, kiedy już ludzie opuszczają plac boju, uniósłszy lwią część zdobyczy. Pojawiają się wilki preryi, zawsze głodne, chciwe żeru i napadają na pozostałe resztki, aby im wyprawić pogrzeb. Słychać ponure warczenia, szczęki i zgrzyty zębów, chrzęst rozrywanych żył i ścięgien, walkę zawziętą o mięso i kości.

Indyanin odbywa także łowy na bizona pieszo. W tym celu wdziewa na grzbiet i głowę skórę wilczą, a mając łuk, jako też zapas strzał na podręczu, zaczyna podchodzić na czworakach w zygzak bizona, który się od gromady najbardziej oddalił. Długa grzywa głowy spada bizonowi na oczy, utrudnia mu dobre widzenie; przytem łowca szedł tak dobrze naprzeciw prądu wiatru, że zwierzę nie zwęszyło jego obecności. Kiedy już podszedł blizko i był

pewny dobrego strzału, lekko brzęknęła cięciwa łuku, a myśliwy plackiem przycupnął w trawie. W jakiś czas podniósł głowę, popatrzył co się dzieje: zwierzę kręciło się wokoło, jak gdyby dostało kołowacizny, potem padło, wydając mruki. Niektóre sztuki w stadzie wzniosły głowy grzywiaste, przez chwilę uważnie spoglądały na konającego towarzysza i z obojętnością szczypały trawę w dalszym ciągu.

Innym razem polowanie nie powiodło się łowcy: bizony zwietrzyły człowieka i w jednej chwili całe stado rzuciło się do ucieczki.

Jeden podróżnik opowiada; jakoby polowanie na bizona nie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa. „Częstokroć, pisze on, zabrakło nam mięsa podczas podróży i wtedy wysłaliśmy sprawnego jeźdźca, ażeby zapolował w stepie. Wysłaniec nasz wjeżdżał między stada bizonów, które zaledwie zwracały nań uwagę, wybierał sobie jakąś sztukę, zaganiał ją i wraz z nią zmuszał do ucieczki pomniejszą gromadkę. Zaczynała się gonitwa i jeździec, nie oszczędzając konia, sadził już za upatrzoną ofiarą, dopóki się nie nastręczyła sposobność przyłożenia rewolweru do lewej łopatki zwierzęcia i do wystrzału już pewnego. Inne stada zachowywały się obojętnie, umknęły tylko nieco na bok podczas polowania“.

Trzeba bowiem wiedzieć, że pod względem

zdolności umysłowych, bizon amerykański nie różni się od swoich powinowatych — wołów. Jest on głupowaty, lękliwy i niezdolny do wzruszeń silniejszych; dopiero rozdrażniony, wpada w szał, staje się wściekły, odważny, mściwy. Dla oswojenia jednak nie jest tak dalece nieprzystępny, jak dawniej mniemano; potrzeba tylko czasu dłuższego i troskliwości znacznej, ażeby człowiekowi zupełnie uległ.

Przy sposobności zaznaczamy, że blizko z bizonem spokrewnione: *żubr* i *tur* są to dwa różne woły. Żubr, jak już wspominaliśmy, przechowuje się jeszcze tylko w puszczy Białowieskiej; ale tur należy do zwierząt zaginionych. Był to wół czarny, dorównywający podobno według Cezara wielkością słoniowi. W Polsce żył on niegdyś w lasach Mazowsza, szczególniej w okolicach Sochaczewa, Rawy i nad Narwą, a tylko książętom było wolno nań polować. Po turze pozostały jedynie wspomnienia historyczne; ale nazwisko jego powtarza się w przysłowiach, nazwach miejscowości, jako też utrzymuje się do dnia dzisiejszego u ludu zabawa zapustna nazwana „turem“ albo „toruniem“.

Niedźwiedź biały.

Zajmuje on stanowisko wyosobnione w rodzinie niedźwiedzi, ponieważ już jako zwierzę morskie różni się zasadniczo sposobem życia od swoich powinowatych lądowych. Jest on jeszcze nieco większy od niedźwiedzia szarego, a nie ustępuje mu także w sile i dzikości. Puste wybrzeża mórz lądowych są jego ojczyzną. Nie zbadano dotychczas, jak daleko na północ leży kres jego pobytu; ale o ile tylko człowiek zdołał dotrzeć w te krainy niegościnne, wszędzie się z nim spotykał. Jak lew na pustyni afrykańskiej, tak on w pustyni śniegów i lodów jest królem. Pływak znakomity, zdolny jest przebywać wpław przestrzeń dziesiątki mil wynoszącą. Nurkuje przytem nieporównanie jak rybołówca. Żeglarze widują go często, jak na bryle lodu odbywa wędrówki dalekie po morzu.

Okręt angielski, powracający z Nowej Ziemi, zarzucił był kotwicę przy jednej z wysp,

znajdujących się u wejścia w cieśninę Wajgacz. Dwaj majtkowie, powodowani ciekawością, zapragnęli zwiedzić tę wyspę i podpłynęli do niej w łodzi. Kiedy się już dosyć nachodzili, usiedli na brzegu i zwróceni do okrętu spokojnie rozmawiali. Naraz jeden z nich uczuł, że go ktoś silnie pochwycił za kark z tyłu. Żarty grube w tym rodzaju nie są bynajmniej rzadkością między żeglarzami; więc majtek nagabnięty, znający się na takich figlach, zapytał nawpół gniewnie: „Kto mię tam u licha ściska tak mocno?... Dosyć tych żartów!“ Ale towarzysz jego odwrócił głowę i wydał okrzyk trwogi: „Boże, to niedźwiedź!“ Porwał się z temi słowy i uciekał, czyniąc wrzawę niezmierną. Rzeczywiście, ogromny niedźwiedź biały podszedł znienacka, pochwycił jednego za kark i zwalił sobie pod łapy. Na krzyki rozpaczliwe żeglarza, który szukał ocalenia w ucieczce, załoga okrętowa chwyta lance, strzelby, rzuca się do czółen i przybija do wyspy. Bez zwłoki czasu uderzyli na potwora, rozszarpującego ich towarzysza. Zwierz ani drgnął na widok ludzi nadchodzących, nie przerwał sobie uczty; dopiero, kiedy się już dobrze zbliżyli do niego, powstał nagle, rzucił się z wściekłością, pochwycił wpół ciała jednego z tej gromady i uniósł, rozdzierając go pazurami w oczach załogi osłupiałej z przerażenia. Taki strach nadzwyczajny ogarnął wszystkich,

że uciekli w pośpiechu największym, rzucili się do czółen, powrócili do okrętu. Opamiętali się teraz, odzyskali odwagę, sromali się swego tchórzostwa i jedni drugim dodawali otuchy. Postanowili wracać na wyspę, uderzyć gromadnie na bestyę straszliwą, pomścić śmierć współtowarzysza.

Niektórzy jednak sprzeciwiali się tej wyprawie, tak przemawiając: „Towarzysze nasi już nie żyją i my ich przecież w żaden sposób nie zdołamy wskrzesić. Chyba dlatego mamy przedsiębrać tę wyprawę, aby napaść oczy widokiem smutnych ciał poszarpanych i krwią zbroczonych kości rozrzuconych. Doprawdy, to zwiększy żałość naszą! A cóż za zaszczyt dla nas pokonanie niedźwiedzia, jeżeli to okupimy ofiarami? Istotnie, w takiem położeniu zdrowy rozum nakazuje pogodzić się z losem“. Mowy te trafiły do przekonań większości małodusznej, usiłującej usprawiedliwić rozumowaniem tchórzostwo swoje. Ale znaleźli się tam ludzie z innymi poglądami na ową sprawę.

Trzej mianowicie junacy, lekceważąc zimny rozsądek tam, gdzie potrzeba okazać serce, ufni w męstwo swoje, wsiedli w czółno i popłynęli na wyspę. Potwór, widocznie zgłodniały, leżał na obu trupach i wyciągał korzyści ze swego zwycięstwa. Majtkowie podeszli, razem dali ognia; ale zapewne odległość była za wielka i kule nie

dosięgnęły niedźwiedzia. Wtedy najdzielniejszy z tych trzech raźno poskoczył naprzód, podszedł już tak blizko, aby strzał nie zawiódł, zmierzył spokojnie, dokładnie i wypalił. Tym razem wsadził rozbójnikowi kulę ponad oko, a tak, że mu nawskroś przewierciła głowę. Jednak rzecz dziwna, niedźwiedź nie padł na miejscu: powstał jeno i, trzymając za kark zwłoki jednego z nieboszczyków, rzucił się z niemi do ucieczki. Ale kiedy przebiegł kilka kroków, zachwiał się, a wtedy trzej majtkowie natarli nań z bronią białą. Drapieżnik, obluzgany cały krwią ludzką, runął nareszcie, a i wtedy nawet nie popuścił swej ofiary. Otrzymał pchnięcie potężne i głębokie w paszczę, ale cios ten był już zbyteczny.

Trzej dzielni ludzie pozbierali teraz szczątki towarzyszów zamordowanych i pogrzebali je na wyspie w obecności całej załogi okrętu, która tu nareszcie przybyła. Skórę niedźwiedzia olbrzymiego słusznie przyznano najdzielniejszemu z tych trzech żeglarzów, ponieważ on to pierwszy zadał strasznemu potworowi ranę śmiertelną.

Posłuchajmy następnie opowiadania o innej przygodzie. Jesteśmy na pokładzie okrętu pod dowództwem kapitana Jange Krees. Wieczór nastał po dniu bardzo pracowitym, w którym płatano sadło wielorybie i robiono z niem

porządek. Kapitan i cała załoga, ogromnie znużeni pracą, udali się na spoczynek. Tylko straż zwyczajna czuwała. Okręt stał przymocowany do wielkiej ławicy lodowej, na której straż spostrzegła właśnie niedźwiedzia leżącego i, jak się zdawało, uśpionego. „Pójdźmy, uderzmy na niego!“—mówili strażnicy między sobą. „Zróbmy tylko wyprawę tak cicho, aby nie zbudzić nikogo!“ Atoli nie mogli się załatwić bez sprawienia zgiełku, kiedy im wypadło odwiązywać czółna. Obudzili kapitana, który spał na jedno ucho, usłyszał zgiełk w chwili, kiedy mu się śnił wieloryb: zaraz wstał, wyszedł z kajuty i dowiedział się, o co chodzi. Sprawdził fakt, swoim wzrokiem daleko sięgającym osądził, że jedno czółno nie jest dostateczne do takiej wyprawy i przeznaczył dwa, a przytem, odpowiednią ilość ludzi uzbrojonych, na których czele sam stanął. Niedźwiedź widział zdaleka, jak się ów zastęp zbrojny zbliżał ku niemu wodą i nie okazywał najmniejszego niepokoju. Ale kiedy czółna przybiły już do ławicy lodowej, zwierz nie miał chęci dotrzymywać placu, porwał się i wskoczył w morze. Czółna poszły za nim w pogoń, dopadły go, a kapitan pierwszy zadał mu lancą takie pchnięcie, że wnętrzności zwierza dały się widzieć. Można było powtórzyć ten cios; jednakże chodziło tu o to, ażeby nie dziurawić skóry bez potrzeby. Zwierz, po odebraniu ta-

kiego pchnięcia, powinien był i tak nie żyć. Tymczasem dopłynął do wysepki maleńkiej, która się wznosiła może o jakie pięć stóp nad wodą, i wylazł na brzeg ku zdziwieniu wielkiemu marynarzy. Nikt nie mógł pojąć, jakim cudem niedźwiedź srogo przebity, zdobywa się na taki wysiłek. Na owej wysepce zwinął się w kłębek i leżał, trzymając pysk na łapach przednich. Zniecierpliwiony kapitan rozkazał płynąć do wysepki, sam co żywo wyskoczył z czółna i pobiegł, ażeby lancą długą dobić zwierza. Wtem, o dziwo niesłychane, niedźwiedź rzekomo nawpół umarły, ryknął, wykonał skok nadzwyczajny, rzucił się do napastnika, położył mu jedną łapę na piersiach, drugą na żebrach i pokazał dwa rzędy zębów białych. W takiej postawie pozostawał czas jakiś, jak gdyby chciał dać uczuć swemu przeciwnikowi całą okropność położenia i lubował się tym rodzajem wywierania zemsty.

Załoga, na widok niebezpieczeństwa, zagrażającego zwierzchnikowi, poczęła krzyczeć w niebogłosy, przyzywając pomocy z okrętu. Jeden tylko majtek nie spodziewał się wcale, ażeby niedźwiedź był tak względny i czekał, dopóki kapitanowi posiłki nie nadejdą. Ten majtek właśnie pochwycił bosak okrętowy, oręż zupełnie nieodpowiedni do takiej walki, i pośpieszył na ratunek kapitana. Niedźwiedź, wi-

dząc nowego przeciwnika, puścił ofiarę, i począł zmykać. Jonge Krees wyszedł cało, najadł się tylko strachu. Przypłynęły nowe czółna od okrętu i po krótkiej naradzie wyruszono tłumnie na drapieżnika, który niedaleko odszedł i znowu się położył. Sypnęły się liczne strzały, potem uderzono z lancami, słowem, cała załoga była niezmiernie czynna, aby zabić jednego niedźwiedzia.

Innym znowu razem pewien okręt amerykański stał na kotwicy przy brzegach Grenlandyi. Jeden z majtków użył za dużo rumu i to natchnęło go taką odwagą, że postanowił zaczepić niedźwiedzia białego. Uzbrojony w oszczep, jakiego się używa w łowach na wieloryba, przedsięwziął wyprawę zuchwałą. W ciągu pół godziny przebył drogę wielce uciążliwą, grzęznąc w śniegu sypkim, utykając na odłamach ostrych lodu, aż znalazł się w blizkości nieprzyjaciela pożądanego. Niedźwiedź wcale się nie uląkł tej napaści, przeciwnie, miał postawę bardzo groźną, wyzywającą. Droga przebyta, widok zwierza straszliwego, znacznie ochłodziły męstwo żeglarza. Śmiałek zatrzymał się w niejakiej odległości od białego króla lodów i tak wywijał oszczepem, że towarzysze jego, patrząc zdaleka, nie mogli rozpoznać, czy on się broni, czy napada. Olbrzym ciągle stał spokojnie, wpatrywał się w przeciwnika. Majtek napróżno usi-

łował zebrać odwagi i rozpocząć bój na dobre; niedźwiedź wyglądał zbyt potężnie miał postawę straszliwie groźną. Że w oddaleniu zawsze można udawać zucha, więc junak, choć zaczynał już cierpnąć ze strachu, jął krzyczeć, wstrząsać oszczepem. Niedźwiedź, jak gdyby tego wszystkiego nie słyszał, nie widział, uparcie stał w miejscu: pogardzał groźbami, czy ich nie rozumiał. Takie zachowywanie się zwierza przerażało śmiałka coraz więcej i nareszcie doprowadziło go do strachu, w którym łydki drżą pod człowiekiem, kolana się uginają. Nasz zuch byłby już dawno zmykał z placu boju, gdyby nie obawa, że go towarzysze wyśmieją. Teraz niedźwiedź uznał za stosowne przyjrzeć się zblizka człowiekowi i śmiało szedł ku niemu. Żeglarz, widząc to, stracił ostatnią iskierkę męstwa, wziął nogi za pas i począł rączo uciekać. Niebezpieczeństwo prawdziwe zaczęło się właśnie od tej chwili. Człowiek wnet poczuł, że ma na karku nieprzyjaciela i rzucił lancę, jedyny środek obrony, ale zarazem i ciężar, który utrudniał ucieczkę. Zwierz zatrzymał się przy tym orężu, dotknął go łapami, ugryzł i znowu puścił się w pogoń. Następował już na pięty żeglarza zaledwie dyszącego, kiedy spostrzegł na drodze rękawicę upuszczoną i przy niej, podobnie jak przy lancy, zabawił przez chwilę. Zbieg, chcąc zyskać na czasie, upuścił jeszcze

drugą rękawicę, nareszcie czapkę i podstęp zawsze mu się udawał. Mimo to, pogoń, jakkolwiek chwilowo odwlekana, trwała uporczywie i śmiałek byłby niezawodnie zginął, gdyby mu w ostatniej chwili inni majtkowie nie pośpieszyli z pomocą.

Jak wielka jest miłość macierzyńska niedźwiedzicy białej, można się przekonać z przygody, która się zdarzyła na okręcie La Carcasse zamarzłym wśród lodów. Razu jednego majtkowie piekli mięso konia morskiego, kiedy naraz ujrzeli w pobliżu trzy niedźwiedzie białe, zwabione tu zapewne wonią pieczeni. Była to matka z dwojgiem dzieci, które jej prawie dorównywały wzrostem. Młode rzuciły się chciwie na ognisko, porwały spory kawałek mięsa i połknęły z pośpiechem. Żeglarze robili sobie teraz zabawkę, rzucali różne ochłapy, które matka zbierała i odnosiła dzieciom. Właśnie przybyła zabrać ostatni kawałek mięsa rzuconego, kiedy załoga poza jej plecami dała ognia i zastrzeliła oboje dzieci, a jednocześnie zraniono także starą. Nieszczęśliwa matka zaledwie mogła się poruszać, jednakże czołgając, zaniosła i podawała dzieciom kąski. Spostrzegła, że dzieci nie jedzą, i wyciągała łapy już do jednego, już do drugiego, usiłowała je podźwignąć. Ponieważ wszystkie jej starania okazały się daremne, zaczęła wyć żałośnie. Następnie oddaliła się o kil-

kanaście kroków, ciągle spoglądając poza siebie ku dzieciom i wyła rozpaczliwie. Powtórzyło się to kilka razy. Nareszcie zdobyła sobie przekonanie, że te zimne dzieci są trupami martwymi. Wtedy zwróciła głowę do okrętu, wydawała mruki pełne wściekłości i rozpaczy. Załoga odpowiedziała jej na to wystrzałami. Padła obok dzieci i zdychając, jeszcze lizała ich rany.

Niedźwiedź brunatny.

Do olbrzymów świata zwierzęcego w Europie zalicza się niedźwiedzia i dzika, którym atoli lepiej przystoi nazwa grubej zwierzyny.

Niedźwiedź w młodości poprzestaje na pokarmie roślinnym, a przytem jest wielkim lubownikiem mrówek i miodu. Z wiekiem dojrzalszym nabiera smaku do mięsa, a wtedy nie przebiera: napada, dusi i pożera, co mu się zdarzy: barana, krowę, konia.

To też, jako drapieżnik, złodziej i łupieżca trzód, doznaje prześladowania srogiego.

Hrabia Kazimierz Wodzicki, myśliwy pierwszorzędny, niepospolity znawca przyrody i pisarz utalentowany, polował wiele razy na niedźwiedzie w górach Karpackich, a piękne opisy jego tych łowów należą niezaprzeczenie do arcydzieł w swoim rodzaju.

Przytaczam właśnie taki opis, zdaniem mojem, jeden z najbardziej zajmujących.

We wrześniu 1869 roku, pasterze górscy dają raz znać, że codziennie widują w jarze niedźwiedzicę czarną z piastunem.

Las zajmował przestrzeń może do tysiąca pięciuset morgów, a przez środek jego biegł parów zakończony łąką czyli pastwiskiem. Po obu zaś stronach całej tej przestrzeni wznosiły się ściany gór z drzewostanem mieszanym. W owym lesie wyrąbano starodrzew, a zasiały się świerczyna i jedlina, dające zwierzynie schronienie bezpieczne, bo nieprzystępne dla człowieka. Rozstawiamy się od szczytów gór, psy puszczono dołem. Po chwili jeden pies się odezwał, za nim inne, i wnet słyszę, jak całym chórem pędzą na mego sąsiada.

Pada strzał, postać czarna miga się w gąszczu, za nią psy wszystkie. Strzał zbił zwierza na lewo, skierował go do parowu, na drugą ubocz. Puszczam się w pogoń przez gęstwinę tam, gdzie słyszę ujadanie psów, podchodzę i widzę mały gąszczyk, który się cały trzęsie od ruchów zwierząt. Stanąłem pod drzewem w przekonaniu, że niedźwiedzica wypadnie na mnie lada chwila. Oczekiwanie trwało dość długo; gorączka się wzmaga; jakiś głos mi podszeptuje:

„Idź do środka, zabijesz, w potrzebie zdołasz się cofnąć!“

Ale rozsądek nakazuje stać, czekać, nie

rwać się do smoczej jamy. Pokusa jednakże wzrasta, zwycięża, wciskam się w ów gąszcz pełen wilgoci. Ujrzałem siedzącą niedźwiedzicę, wspartą na łapach przednich, otoczoną przez psy rozjadłe. Spostrzegła mię i obrzuciła swemi pięknemi oczyma.

Obrazek ten utkwił mi na całe życie w pamięci.

Widziałem łeb zwierza, mordę, łopatki; wymierzyłem pod głowę i strzeliłem, potem szybko cofnąłem się pod drzewo. Zwierzę zwaliło się, kupa psów je obsiadła, wszczął się hałas zdolny obudzić człowieka z letargu. Po kilku minutach słyszę szelest i głosy psów, nareszcie, wystrzał. Biegnę, zaciekawiony niepospolicie, i spostrzegam na polance pięciu naganiaczów uzbrojonych w dzidy, drągi, widocznie czekających, aby przyjąć zwierza.

Niedźwiedzica z przestrzeloną łapą wpada w środek tych ludzi, ale ma drugą łapę przednią zdrową i nią powala pierwszego napotkanego naganiacza, drze mu udo; powstaje, chwyta drugiego, rzuca o ziemię i zaczyna mu gryźć nogi.

Wołam na swego towarzysza, który stał bliżej tego grona:

„Strzelaj!“

A on mi odpowiada:

„Jedna wystrzelona, druga klapie!“

Chwila straszna, wzruszająca!

Naganiacze stali w osłupieniu jak posągi nieruchome, mogła ich wszystkich pozabijać. Ja, chociaż pędziłem potężnie z góry, znajdowałem się w odległości dwunastu kroków.

Naraz niedźwiedzica, szarpana przez psy, ruszyła z miejsca i pocwałowała do swego gąszczu, gdzie spoczęła jak w fortecy nie do zdobycia. Oczywiście, nikt nie chciał wejść do środka i mnie też powstrzymywano. Krzyczeliśmy, rzucaliśmy kamienie, nic jej nie zdołało wypłoszyć, a psy, mimo zachęty wszelkiego rodzaju, nie odważały się w głąb przeniknąć. Obstawiliśmy ten gąszczyk we trzech, gdyż inni myśliwi zniknęli gdzieś po opisanych zajściach, a pierwszy przepadł Stark, mój pomocnik. Niedźwiedzica wymknęła nam się klinem bez strzału, psy poszły za nią, ale już z pewnem uszanowaniem, o kilkanaście kroków odległości.

Przebiegła żwawo przez jar i na drugiej uboczy znowu się usadowiła w miejscu mało dostępnem. I teraz ją obstawiliśmy, a było nas dwóch tylko. Znowu się wymknęła, psy zaś nacierały coraz to słabiej, powolniej.

Takie sceny powtórzyły się tego dnia sześć czy siedm razy.

Czwarta godzina już minęła, dziewiąta była w nogach, gardle, płucach, a u psów jeszcze późniejsza. Kiedy zwierz znowu przywarował

w gąszczu, zjawił się mój Stark, wiodąc dwa psy zabłąkane.

„Idź na górę, puść psy i strzel w krzaki! My się rozstawimy dołem“—rzekłem do niego.

Ale Stark spojrzał na mnie oczyma błędnemi i odpowiedział grobowym głosem:

— „Za nic w świecie! Wolę umrzeć“.

„Więc wleź na drzewo i strzel do gąszczu!“

Uznał to za stosowne, wdrapał się szybko jak wiewiórka, strzelił. Niedźwiedzica wypada teraz na trzech nogach z podniesioną łapą przestrzeloną, z paszczą otwartą, z językiem wiszącym z boku. Stałem o trzydzieści kroków od niej na łące bez drzew, mając w pobliżu mały potoczek; ona zaś biegła na dół i właśnie weszła poza dwa świerki. Złożyłem się natychmiast, postanawiając strzelić, jak tylko zwierz minie owe świerki. Stałem tak z strzelbą wymierzoną za świerki, wpatrzony w to jedno miejsce, wcale nie bacząc na inne kierunki. Dopiero szelest cwału niedźwiedzicy i głośne mruczenie zwróciły gdzieindziej mą uwagę: zwierz prosto na mnie pędził.

Było już nieco za późno, abym, niespodziewanie zaskoczony i wstrząśnięty, mógł celnie strzelić. Wymierzyłem jednak, jak się dało, strzeliłem. Ryknęła straszliwie i jeszcze gwałtowniej biegła, tak, że w susach ogromnych przyskoczyła na odległość może trzech kroków.

Przysiadła, dźwignęła się na zadzie, a zdrową łapą sięgnęła po moję czaszkę, może i po głowę. Jej paszcza panowała nade mną o jakiś łokieć. Strzeliłem z ostatniej lufy tak, że kula wysadziła mózg niedźwiedzicy, która w tej chwili runęła w potok bez znaku życia.

No, gdyby też z powodu dżdżu całodziennego lufa nie była wypaliła!

Mój towarzysz, widząc mię w niebezpieczeństwie, śpieszył na pomoc, jak tylko mógł najprędzej, nie zdołał jednak strzelić. Ale kiedy spostrzegł łapę niedźwiedzicy nad moją głową, upadł i dostał tak gwałtownego bicia serca, żeśmy go oblewali wodą, rozerwaliśmy na nim odzienie i dopiero wówczas odzyskał przytomność, gdy się zabierałem, aby mu krew puścić.

Innym razem jużem był wracał z polowania do domu, kiedy spotkałem w górach Hucuła, który mię zagadnął:

„Co mi pan da, jeżeli napędzę niedźwiedzia?“

Obiecałem mu dać dziesięć złotych reńskich pod warunkiem, że jego psy będą goniły, a moje nie wezmą udziału w tem polowaniu. Posiadałem zaś wówczas siedem psów doskonałych, którymi dowodziła Gazdunia, suka cnót i zalet nieporównanych. Jednakże psy te były zagoniste do tego stopnia, że nieraz, aby je odszukać, traciłem znaczną część pory przezna-

czonej na polowanie. Psy spotkanego Hucuła były bardzo piękne, coś w rodzaju górskich szkockich: jeden zupełnie biały, drugi z łatkami czarnemi, które miał i na uszach. Oba kudłate, miały oczy rozumne, duże, z wyrazem odwagi.

Ten Hucuł, gospodarz zamożny w trzodę, uśmiechnął się na odchodnem, mrugnął oczyma i rzekł:

„Ja wiem, gdzie on pod skałą leży!“

Jak gdyby mię wsadzono na sto koni: zapomniałem o zawodach dziś doznanych, o znużeniu, zniechęceniu. W chwili, kiedy mieliśmy się ustawić na uboczy dosyć spadzistej, mówię do Starka:

„Nie puszczaj psów, jeśli nie dam znaku trąbką, bo się znowu zagonią!“

Stanąłem pod świerkiem omszonym, na ścieżce wydeptanej, jak powiadano, przez niedźwiedzia. Rozpoznawałem położenie miejscowości, a niepokoił mię widok moich psów siedzących w górze ponad lasem: obawiałem się ich ujadania i szczekania. Wtem jeden z psów owczarskich odezwał się basem, drugi zawtórował barytonem, a Hucuł niedaleko ode mnie poświstuje i nawołuje. Usłyszałem łomot, jakby sprawiony przez kilka sztuk bydła uciekającego, łamanie suchych gałęzi, przewracanie kamieni: szum chróstów. Niebawem też spostrzegłem na

zakręcie ścieżki głowę burego niedźwiedzia, który się do mnie zbliżał.

Jużem się przygotował, złożył do strzału, kiedy Stark, mój zły duch myśliwski, zapomina o poleceniu, puszcza wszystkie psy i woła pełnym głosem:

„Husz, husz, pieski!“

Psy mając niedźwiedzia na oku, rzucają się nań z wściekłością, z wrzawą ogromną i zbijają go na dół z uboczy.

Rozpacz mię ogarnęła. Puszczam się ku dołowi, biegnę po uboczy zasypanej ruchomymi i omszonymi, okrągłymi kamieniami, przerżniętej strumykiem.

Niedźwiedź sadził potężnie, przebiegł obok pobrzeżnika, który mu rzucił nabój śrutu i siekańców; ale zwierz widocznie sobie nie wiele robił z tego, gdyż nie zmienił toru i pędził dalej. W jednej chwili odkrywa się przedemną obraz ciekawy, nadzwyczajny.

Młody, przystojny Hucuł, w guńce zapiętej pod szyją, z wiszącymi rękawami, biegnie obces na niedźwiedzia z dzidą i krzykiem rozgłośnym. Był już w odległości piętnastu kroków i zbrakło mu widać odwagi, bo rzucił dzidę, zaczął uciekać.

Zwierz dopędził go w kilku susach, przysiadł i zdarł z niego guńkę, a rad z takiej zdobyczy, począł ją szarpać, jakkolwiek psy dobierały mu się do kudłów.

Hucuł, pozbawiony guńki, nie ustawał w biegu, pomykał się jak antylopa ku kolibie i skoro dopadł, jednym susem rzucił się wewnątrz. Stałem może o sto pięćdziesiąt kroków od niedźwiedzia i gdyby nie brak tchu, nie nogi trzęsące się po kilkunastu wywróconych koziołkach, byłbym strzelał. Zwierz poszarpał guńkę huculską, potem galopkiem poszedł dalej. Teraz znowu mój zły duch dał mi się we znaki. Widząc, co niedźwiedź wyrabia z guńką, Stark wdrapał się na szczyt świerka i tam wysiadywał.

Rozjuszony zwierz przysiadł na łące nad strumieniem, gotując się do walki z psami.

A mój strzelec, zamiast wyczekiwać, dopóki ja się nie spotkam z niedźwiedziem, bo mię przecie widział pędzącego, zamiast strzałem podgonić niedźwiedzia, a tem samem ratować psy rozżarte, zaczyna z wierzchołka drzewa krzyczeć głosem przerażonym:

„Husz, husz!“

Moje psy, podniecone w ten sposób, rzucają się zaciekle na zwierza, a rudy Śpiewak wskakuje mu nawet na grzbiet i zębami wgryza się w ucho.

Niedźwiedź znowu przysiada, ściąga z siebie łapą Śpiewaka, przyciska go do łona, upuszcza i kłusuje dalej.

Kiedy nadbiegłem, pies już był martwy.

Com teraz powiedział Starkowi, tego nie można tu powtórzyć.

Miotany pragnieniem zemsty, popędziłem natychmiast za mordercą Śpiewaka. Pogoń trwała półczwarty godziny, miałem zwierzę ciągle na oku, a na strzał zawsze było za daleko.

Niedźwiedź to zasiadał i walczył z psami, to ku nim podskakiwał, a częstokroć, zmęczony widocznie, warował na miejscu przez kilka minut.

Do dnia dzisiejszego nie mogę pojąć, jakim sposobem znalazł się na górze ponad rzeką. Wiedziałem, że goniąc za nim, nie zdołam go dopędzić; więc kiedy w otoczeniu psów przystanął na miejscu, puściłem się w bród przez rzekę, aby mu zajść drogę od tyłu.

Atoli ściana żwirowata, istne urwisko, nie dozwoliła mi dotrzeć na górę. Brodząc po wodzie, spostrzegam, że niedźwiedź odpoczywa nad tem urwiskiem, a przy nim, już tylko dwa psy się znajdują. W tejże chwili nadbiega góral, rzuca toporek, który się wbija w grzbiet zwierzęcia. Miś porwał się jak szalony, wpada na górala, w mgnieniu oka przysiadł, wyciągnął łapę, wziął człowieka pod siebie i darł pazurami. Serce mi pękało na ten widok, a tu mowy być nie mogło, aby strzał dosięgnął w górę. Psy też, zamiast napadać, poczęły wyć żałośnie.

Obszedłem wodę jakie dwadzieścia kroków, wdrapałem się na górę, biegnę do miej-

sca, gdzie powinienem był znaleźć zwierza i nie mogę nic dojrzeć. Rzucam się więc w zarośla i oto przed gaikiem gęstej świerczyny, mającym rozległości z sześć sążni kwadratowych, przedstawia mi się tu widok:. Gazdunia leży i głosem ochrypłym szczeka w kierunku gąszczu; po za gęstwiną zaś przyległ stary pies leśniczego i poszczekuje kiedy niekiedy. Miałem przed sobą polankę, wszystkiego ćwierć morgi. Zaledwie odetchnąłem, Gazdunia już mię spostrzegła i podniecona widokiem pana rzuca się zapalczywie do gąszczu. Ale wnet się cofa z pośpiechem, a za nią wypada niedźwiedź z podniesioną łapą.

Ujrzał mię, ryknął, potem pomrukiwał, przysiadł na zadzie. Dźwignął się zwolna, a kiedy wystawił ku mnie łapy, odsłonił miejsce gołe, bez futra, pod łopatką.

Zmierzyłem do tego celu, wypaliłem. Niedźwiedź objął głowę obiema łapami, zamruczał ponuro i runął na murawę. Po chwili jeszcze ryknął, podźwignął się, ukazując mi swą ranę, z której krew płynęła. Strzeliłem po raz wtóry.

Teraz już upadł i ciężarem swoim zgiął sporego świerczaka. Obejrzałem się i spostrzegłem, że za mną stał leśniczy z strzelbą na ramieniu.

„Jak to — zawołałem—w chwili takiej pan nie masz kurków odwiedzionych!“

A on mi odrzekł spokojnie, bez najmniejszego wzruszenia w głosie:

„Wiedziałem, że go pan zabije“.

Działo się to o trzynaście kroków od rozjuszonego niedźwiedzia. Wyznaję, że musiałem podziwiać odwagę i zimną krew człowieka, bo gdyby moja strzelba nie była wypaliła, zginęlibyśmy obaj najniezawodniej. Nieszczęśliwego górala, który był bez nadziei życia, odwieziono do wsi; niedźwiedź zdarł mu szmatę skóry od głowy do kolana.

Niedźwiedź szary.

Jest to rozbójnik najstraszniejszy ze wszystkich drapieżnych czworonogów Ameryki, a przeto bywa przedmiotem ulubionym rozmów i opowiadań myśliwych krajowców.

Posiada on życie twarde i każda rana, która go nie zwala z nóg na miejscu, jest nadzwyczajnie groźna dla strzelca. To też ten, kto się z nim zwycięsko potykał, zasługuje na podziw i szacunek zarówno białych jak Indyan.

W młodości wyłazi na drzewa, w wieku dojrzalszym jest na to za ciężki. Pływa jednak wybornie i gniewem uniesiony ściga przeciwnika na wodzie.

Żadne ze zwierząt krajowych nie zdoła mu się oprzeć: dość powiedzieć, że napada i pokonywa potężnego bizona. Nie obawia się wcale człowieka: wyzwany staje śmiało do walki, a jeśli jest głodny, uderza zuchwale na króla ziemi. Ranny, wpada w wściekłość i biada temu,

kto się rychło nie schronił, lub jeżeli jest strzelcem dzielnym, nie posłał mu kuli śmiertelnej. Potwór miażdży takiemu żebra w objęciach swoich, albo jednym zamachem łapy rozrywa całe ciało.

Niegdyś pospolity nad Missouri, dzisiaj musiał się cofnąć na zachód, party przez postępy rolnictwa i przemysłu. Zakłada on legowiska swoje głównie w górach Skalistych i Czarnych.

Polowanie na niego zwykle się odbywa konno i myśliwy podjeżdża częstokroć dosyć blizko, aby mu opalić futro; ale strzelec musi być zupełnie pewny oka, ręki, strzelby. A z tem wszystkiem bywają wypadki, co prawda, rzadkie, że człowiek się ocala, jakby cudem.

Amerykanie, uczestnicy wyprawy handlowej, podczas podróży rozbili raz obóz u stóp pasma gór Czarnych. Niebawem spostrzegli tutaj, między krzewami, tropy tego zwierza straszliwego. Nadzieja wypoczynku zniknęła i noc przeszła w oczekiwaniu pełnem niepokoju.

W tem towarzystwie znajdował się niejaki William Cannon, który niegdyś służył w wojsku. Był to myśliwy niedoświadczony, a strzelec niezdarny, co go wystawiało na szyderstwa i drwiny współtowarzyszów.

Drażniony przez ciągłe pośmiewiska, ćwiczył on się w strzelaniu, ale z małym skutkiem.

Wybrał się po południu, sam jeden poszedł w step i ku ogromnej swej radości zastrzelił bizona. Ponieważ znajdował się w odległości znacznej od obozu, więc nie mógł myśleć o tem, ażeby tam sprowadzić zdobycz w całej okazałości; odciął zwierzęciu zabitemu język, wykrajał kilka najlepszych kawałków mięsa, związał to wszystko rzemieniem, zawiesił na ramieniu i pełen zadowolenia wracał do towarzystwa.

Nagle, kiedy przebywał jakiś jar wązki, posłyszał za sobą odgłosy kroków. Odwrócił głowę i z przerażeniem nadzwyczajnem ujrzał poza sobą niedźwiedzia szarego, którego może zwabił tutaj zapach mięsa świeżego.

Cannon tyle się był nasłuchał o trudnościach ogromnych pokonania tego zwierza, że nawet nie ważył się strzelać. Pośpiesznie tylko zrzucił z siebie brzemię mięsa i zaczął uciekać całym pędem. Atoli mięso nie zatrzymało niedźwiedzia, który w dalszym ciągu gonił za uchodzącym. Los szczęśliwy zdarzył, że na tej drodze rosło drzewo i Cannon odrzucił strzelbę, a na drzewo wdrapał się z pośpiechem wielkim właśnie w chwili, kiedy prześladowca już-już go dopadał.

Myśliwy spojrzał teraz z góry i widział, że potwór straszliwy przysiadł na zadzie, a pomrukując groźnie, śledzi go bacznie oczyma dziko płonącemi. Niedźwiedź kilkakrotnie na-

wet zbliżał się do pnia, drapał niecierpliwie korę pazurami, że aż konary drzewa drżały.

Kiedy noc ciemna zaległa ziemię, człowiek na drzewie pozostawał ciągle w trwodze nieopisanej, gdyż nie mógł rozpoznać, czy go nieprzyjaciel trzyma jeszcze w oblężeniu, a wyobraźnia podszeptywała wszystko najgorsze.

Przez całą noc był on łupem przywidzeń najokropniejszych: za lada szmerem liści zdawało mu się, że potwór wyłazi na drzewo i wyciąga ku niemu łapę, uzbrojoną w pazury straszne. Niedźwiedź rzeczywiście czatował do świtu; ale przyległ u stóp drzewa i zachowywał się spokojnie, jak gdyby wiedział, że to może skłonić człowieka do opuszczenia schroniska bezpiecznego.

Z brzaskiem dnia, efraim, tak go przezywają w Ameryce, odszedł nareszcie, ale nieustannie oglądał się po za siebie, co zatrzymało biednego Cannona jeszcze parę godzin na drzewie, bo nuż chytry zwierz czai się gdzieś w oddaleniu. Nasz myśliwy, upewniony dostatecznie o swem bezpieczeństwie, zeskoczył, pochwycił strzelbę i, nie myśląc już o mięsie bizona, pobiegł pędem do obozu. Przygoda jego dodała tylko towarzyszom bodźca do drwin nowych.

Niejaki John Day, stary, wytrawny myśliwy z Wirginii, tropił pewnego razu jelenia, mając za towarzysza młodego nowicyusza. Wtem

niespodziewanie spostrzegli w odległości trzydziestu metrów niedźwiedzia szarego olbrzymiej wielkości.

Potwór wypadł z gąszczu zarośli, wspiął się na łapach tylnich, wydał mruk straszliwy, zmrażający krew w żyłach, a przytem ukazał zbrojownię bardzo bogatą w pazury i zęby.

Młody myśliwy zrobił taki ruch, jakby się gotował do użycia karabinu, ale w tej samej chwili uczuł dotknięcie ręki żelaznej starego ćwika, i posłyszał słowa jego wyszeptane przez zęby:

„Chłopcze, cicho, sza!—ani mi drgnij!“

John Day mówił to, a jednocześnie nie spuszczał z oczu bestyi okropnej. Ślepie ogniste potwora spotkały się z buremi, przenikliwemi, oczyma strzelca, osadzonemi głęboko pod brwiami krzaczastemi. Niedźwiedź powstrzymał się w napadzie, może pod wpływem wzroku Daya, a może zdumiony istnie posągowym spokojem obu łowców. Przeszywał ich tylko wzrokiem, w którym się iskrzyła dzikość i żądza łupu. Trwało to z pięć minut, wydających się myśliwym, jakby lata długie pod toporem katowskim.

Efraim nareszcie spuścił oczy, stanął na czworakach, mruknął już mniej groźnie i począł się oddalać. Uszedł z dziesięć kroków i widać po namyśle, znowu się odwrócił, usiadł na za-

dzie, powtórzył groźbę, straszliwie brzmiącą w tym stepie głuchym.

Stary weteran i teraz dotknął dłonią ramienia towarzysza, pomrukując:

„Chłopcze, cicho, cicho!“

Napomnienie było zupełnie zbyteczne tym razem, gdyż młodzieniec skamieniał prawie z przestrachu i nie myślał się ruszyć. Po chwili, niedźwiedź znowu się opuścił na przednie łapy i poszedł w drogę dalszą. Zaledwie pobiegł jakie dwadzieścia kroków, a już stanął, zwrócił swoje oblicze do myśliwych i w postawie wyprostowanej wysłał ryk w powietrze.

To trzecie wyzwanie zniecierpliwiło już w najwyższym stopniu starego strzelca.

„Do kroćset! — zaklął John Day — bestya widocznie robi sobie z nas żarciki... No, no, dosyć mam tego!“

Rzekłszy to, złożył się w tej chwili i wypalił. Kula dosięgnęła potwora i co jest dziwna, chociaż go nie zwaliła na ziemię, obudziła w nim przestrach, miasto wściekłości zwykłej w takich razach: zwierz teraz pobiegł krokiem pośpiesznym i wkrótce zniknął z oczu.

Teraz młody strzelec obdarzał starego wyrzutami, mówiąc:

— Zalecałeś mi ciągle cierpliwość, a widzę, że sam jej nie posiadasz.

— Mój chłopcze, odparł John Day, cierpli-

wość i roztropność są to cnoty znakomite; nie trzeba ich nigdy nadużywać, nawet wtedy, kiedy się ma do czynienia z niedźwiedziem szarym! Cóżeś ty chciał, abym się takiej bestyi pozwalał dręczyć dzień cały i jak tchórz wyglądał w jej oczach?

Pewien myśliwy amerykański uganiał się za jeleniem i przypadkiem wpadł w jedną z tych głębokich studni, do których ściekają wody w preryach po wielkich deszczach, a podczas upałów pozostają doły suche. Wyobraźmy sobie przerażenie nadzwyczajne tego łowcy, kiedy na dnie nory, gdzie zapadł, spotkał się oko w oko z niedźwiedziem szarym, bestyą ogromnych rozmiarów.

Potwór, pewnie wygłodzony, od razu napadł na myśliwego, który najprzód wsadził mu w ciało dwa naboje, a następnie do rozpaczliwego boju ręcznego wydobył nóż myśliwski.

Bóg jeden wie, co się tam działo w owym dole, gdyż łowca okryty ranami, przejęty trwogą śmiertelną, wcale sobie nie zdawał sprawy z tych zapasów.

Człowiek zwyciężył wprawdzie, ale wyszedł z boju jako kaleka: zwierz, zanim wyzionął dech żywota, złamał mu rękę i nogę, nie licząc wielu ran pomniejszych.

Łowca tak unieszczęśliwiony, wił się w cierpieniach i przez kilka dni musiał pozostawać

w jamie, używając za pokarm surowego mięsa z niedźwiedzia. Nareszcie skrzepił się nieco, zebrał wszystkie siły i z wielkim trudem zdołał się wygramolić z nory przeklętej. Czołgając na brzuchu, dotarł do jaru utworzonego przez strumień, teraz już prawie wyschły. Tutaj ugasił pragnienie, pijąc wodę, co go niepospolicie orzeźwiło.

Wlókł się potem z trudnością ogromną do drugiej kałuży tego strumienia, a zaspakajał głód rybkami drobnemi i żabami. Podczas tej wędrówki spostrzegł raz wśród preryi wilka, który upolował jelenia i właśnie go pożerał.

Zniekany człowiek wylazł czemprędzej na brzeg jaru, widokiem swoim spłoszył wilka i sam się położył obok zdobyczy.

Pozostawał tam przez czas jakiś, używając na mięsie, które mu w części powróciło siły. Wzmocniony, znowu powracał do jaru i, jak mógł, podążał z biegiem strumienia aż do miejsca, gdzie ów strumień wpadał w inny, większy.

I teraz również trzymał się biegu wody, dopóki nie przybył do rzeki będącej bezpośrednim dopływem Missouri. Znalazł na brzegu tej rzeki kłodę drzewa zwalonego, wytężył siły, zepchnął kłodę do wody, wsiadł na nią okrakiem, jak na konia i popłynął z prądem.

Fale rzeki niosły go przez całą dobę i przyniosły do fortu Conneil-Bluffs, co na jego

szczęście nastąpiło w dzień biały, gdyż w razie przeciwnym mógł niepostrzeżony minąć ten posterunek nadzwyczajnie odludny.

Wysłano mu co żywo czółno na pomoc i przywieziono raczej martwego, niż żywego, po tych przygodach dziwnych.

Oddany w ręce lekarza biegłego, powrócił z czasem do zdrowia i rany mu się zagoiły; ale utracił rękę i nogę, pozostał kaleką na całe życie.

Dzik.

Dziki, albo świnie dzikie, wyrządzają rolnikom szkody niemałe w polach i lasach, dlatego należą do zwierząt skwapliwie tępionych, tembardziej, że mięso ich stanowi pokarm smaczny.

W czasach dawniejszych polowano na dzika z oszczepem, a słabsze warchlaki zabijano kordelasem. Myśliwy nowożytny posługuje się tak zwaną naganką, lub używa psów sprawnych i poluje na tego zwierza tylko z bronią palną.

Do rzędu świń zaliczają się między innemi: mała świnka *pekari* w Ameryce południowej, *babirusa* na wyspie Celebes i niektórych małych wyspach Moluckich, *świnia brodawkowata,* istny potwór między świniami, mieszkanka Afryki.

Opisy polowania na nasze dziki przedstawiamy tu podług hr. Kazimierza Wodzickiego.

Polowanie odbyło się w Karpatach gali-

cyjskich, a dzień ten mam głęboko wyryty w pamięci.

Straż leśna doniosła, że na uboczu góry stóżkowatej jest niedźwiedź, który tam niezawodnie przebywa, gdyż go śledzono na każdej ponowie.

Zajęliśmy stanowisko przy grzbiecie góry wśród jodeł masztowych. Polecono nagance trąbić, krzyczeć, ile sił starczy, ażeby obudzić i wypłoszyć niedźwiedzia.

Druga po południu dochodziła, kiedyśmy posłyszeli głosy naganiaczy tak daleko, jakby gdzieś za lasem.

Trwało to do czwartej i nic się nie zmieniło w kniei. Słońce rzucało na nas ostatnie promienie, zaczynało się chylić za góry; jodły ośnieżone zolbrzymiały, pokrywały się barwą żałobną, tło boru ciemne, ponure, wyglądało jak zimowy grób leśny.

Naraz słyszę rechtanie dzików i ów szmer dobrze znany myśliwym, pobudzający serce do bicia żywszego, wywołujący kurczowe ściśnienie gardła, drżenie w nogach.

Plama czarna ukazała się w oddaleniu znacznem na białej powłoce śniegu.

Ile tam było dzików, nie mogłem policzyć; ale dwa stada szły widocznie, jedno za drugiem.

Jak tylko ta czerń zbliżyła się do mnie na jakie sto kroków, a na trzydzieści do mego

sąsiada, padł strzał... Właśnie sąsiad strzelił, i prawie jednocześnie dał się słyszeć kwik warchlaka.

Zamęt straszliwy powstał wśród owej rzeszy czarnej i rozległo się głośne rechtanie z świstem, szumem, jak gdyby burzy nadciągającej.

Stara samura, fuknąwszy rzuciła się na dym strzału, wciągała powietrze nozdrzami, a że nie dostrzegła zabójcy dziecka, obiegała wcwał drzewo i ciągle fukała. Obiegła tak siedm lub ośm razy, potem podeszła do warchlaka zabitego, trąciła go, podniosła ryjem, jakgdyby chciała zbudzić do życia i znowu wróciła do jodły, gdzie mój sąsiad stał niby przylepiony do drzewa.

Na jego szczęście, samura była widać pozbawiona wiatru, gdyż inaczej rozszarpałaby go w strzępy, tak strasznie się rozjuszyła.

Okrążała najprzód z wściekłością jodłę, potem obchodziła ją zwolna, stawała, wietrzyła, a nie szła do żadnego innego drzewa.

Tymczasem druga samura zszeregowała warchlaki własne i dziatwę towarzyszki, stanęła na ich czele jak wódz wojska i poszła.

Zmrok nie dozwolił mi strzelać; wprawdzie rozpoznawałem dwa dziki ogromne i rój mniejszych, ale zaledwie mogłem rozróżnić ich zarysy.

Nareszcie po upływie jakich dziesięciu mi-

nut, rozwścieczona samura pobiegła do stada, które niebawem przeszło za linię myśliwych i skryło się w ciemnościach boru.

Zabójca warchlaka był w strasznem położeniu.

„Ani pięciu minut dłużej nie byłbym wytrzymał, — mówił — nogi się pode mną trzęsły, uginały; za chwilę upadłbym na ziemię i stał się pastwą wściekłej bestyi“.

Nadeszła noc, którą musieliśmy spędzić w lesie.

Pobudowano z choiny szałasy, zasłano je wewnątrz gałązkami jodeł, a w środku obozu rozniecono ogromne ognisko. Mieliśmy zapasy herbaty, bigosu, wędliny, usposobienie wesołe, wyobraźnię podnieconą przez wydarzenia dnia, przytem w żołądkach próżnię nadzwyczajną.

Czuliśmy się z początku, jak w raju; ale stan nasz pogarszał się z każdą chwilą, kiedy mróz szyć począł.

Noc piekielna, nigdy niezapomniana!

Przede mną: żar ogniska, za mną: mróz lodów podbiegunowych, ścinający szpik w kościach, a w górze: sklepienie niebios wyiskrzone, z gwiazdami i księżycem.

Drżałem jak w febrze, wstałem i odwróciłem się do ognia: miałem piekło z tyłu, a zimno dotkliwe z przodu.

Spojrzałem na zegarek, dziewiąta; ciarki

mię przeszły na myśl, że muszę tu jeszcze spędzić dziesięć godzin.

Poszedłem do innego szałasu, czyli koliby, jak tu mówią. Zupełnie inny obraz.

Strażnicy leśni i naganiacze leżeli w posłaniu z choiny jak śledzie, spali spokojnie, trzymając w zębach fajeczki krótkie.

Mieli na głowach czapki lisie naszywane, odziani w kożuszki do kolan, w szarawary z płótna, a na nogach krypcie.

Spali jak zabici!

Całą noc łaziłem, kręciłem się po tym obozie. Nareszcie jodły zaczęły się wynurzać z ciemności czarnej, brzask rozjaśnił niebo, gwiazdy zbladły.

Chwałaż Ci, Panie!

A było przy zupełnie cichem powietrzu siedmnaście stopni mrozu.

Cisza panowała jeszcze w naszej kolibie, kiedy w drugiej już się rozlega wrzawa, gwary i krzątanie się około ognia: przygotowywano śniadanie. Polowaliśmy w mróz trzaskający i około południa padła samura waleczna.

Ale niebo wnet poczęło się chmurzyć, a Huculi oświadczyli, że jeśli przyjdzie śnieżyca, to wszyscy poginiemy.

Zwinęliśmy przeto obóz i późno w nocy dotarliśmy do wioski.

W obwodzie Samborskim, w bagnistym

lesie Bielcza, wśród kępin wierzb czarnych, przeplatanych chmielem, zarosłych gęsto pokrzywami i trzcinami, zimowały liczne dziki. Miały one tutaj fortece niebezpieczne dla psów; dziki bowiem bez wysiłków szły przez gąszcze, podczas gdy kundysy, przyciśnięte do gęstych krzaków, musiały odbierać rany śmiertelne.

Straciłem w tych lasach kilkanaście psiarni; rzadko kiedy wracałem po polowaniu z psami.

Dziki miały tu inne zwyczaje, weksle, ruchy.

Częstokroć przy śniegu miękkim można tam polować na pomkniętego dzika, tak dotrzymywały w barłogach lub kopicach siana. Zdarzyło mi się dwa razy podejść i podjechać dzika na dziesięć kroków.

Kiedy raz szedłem bez psów za warchlakiem postrzelonym, odyniec pomknął przede mną jak zając; mogłem go zabić, ale poskoczył za gąszcz wierzby czarnej i zniknął mi z oczu.

Innym razem, gdy pędziłem na koniu dosyć hałaśliwie, z powodu twardej skorupy śniegu, najechałem na kopę siana.

Niebo mi się zaciemniło, koń skoczył ze mną do gąszczu, strzelba uderzyła mię w głowę, sznurki trąbki i zarękawka pomotały się, czapka zapadła mi na oczy, słowem, od jednego razu wszystkie nieszczęścia myśliwskie na mnie spadły. Rzuciłem z pod czapki wzrok nieśmiały na kopicę i spostrzegłem olbrzymiego odyńca,

pokrytego jeszcze sianem, kłapiącego zębami, tupiącego nogami, z ogonem skręconym w obwarzanek, z wejrzeniem srogiem i fukaniem złowrogiem.

Bóg strzegł mię, będącego na łasce odyńca i w strachu ogromnym.

A więc zwierz tylko przeraził mnie i konia w stopniu najwyższym, poczem ruszył wolnym krokiem, strząsając siano z swego grzbietu wspaniałego.

Tego samego pamiętnego mi dnia, poszedłem do barłogu z trzema psami, śledząc tropy stada, i zanim zdołałem puścić tropowca, wyskoczyła stara samura, a z nią pięcioro warchlaków rosłych.

Stanęła, spoglądając na mnie groźnie poprzez młakę czarną.

Zaledwie zdołałem puścić jednego psa, kiedy łańcuch wiążący inne spętał mi nogi, a psiarczyk, usiłują mnie ratować, właśnie z nóg zwalił.

Psy powlokły mię nieco, a kiedym już nareszcie powstał, ujrzałem z niemałem zdziwieniem, że samura najeżona stoi w tem samem miejscu i zacięcie broni dzieci przed napaścią psa mego.

Gąszcz nie pozwalał mi strzelać, należało najprzód wypędzić z fortecy świnię rozjuszoną.

Więc puściłem psy, na które samura napadała bez najmniejszej trwogi, wracała do

warchląt, szeregowała je za sobą, zakrywała przed napaścią psów i znowu uderzała na kundysy.

W przystępie wściekłości chwyciła za nogę jednego psa, zadała mu cios tak dotkliwy, że straszliwie skowyczał, przybiegł do mnie na trzech nogach i już potem nie chciał być czynny.

Pysznie wyglądała ta samura za przezroczystą zasłoną chrustów.

Najeżona, z czubem na głowie, z pianą u ryja, z ogonkiem zakręconym, trzęsącym się, tupała nogami, kłapała zębami, rzucała się pędem na psy, powracała do warchlaków, porządkowała je, rechtała, jakby udzielając przestróg, czy dodając otuchy.

Kiedym się już napatrzył do syta, postanowiłem wypowiedzieć walkę tej matce znakomitej. Począłem więc ostrożnie przedzierać się przez krzaki gęste wierzby czarnej.

Zbliżyłem się do zwierza na kilka kroków, ale gałęzie giętkie, gibkie, otaczały mię ze wszystkich stron i nie pozwoliły wystrzelić.

Dwa psy, zachęcone moją obecnością, skoczyły zajadle na samurę, która, pomimo tej napaści srogiej, rozumiała widać dobrze niebezpieczeństwo swego położenia i nie uderzyła teraz na psy: wpatrzyła się jadowicie we mnie i pędem skoczyła na młakę, gdzie stałem.

Młaka ta widocznie i dla niej była za gę-

sta, nie dawała się przebić: gałęzie gąszczu zatrzymały samurę o kilka stóp ode mnie.

Byłem bezsilny, bezbronny wobec dzika, rozjuszonego, nie mogąc strzelać.

Jednakże stan rzeczy zmienił się nareszcie. Samura, szarpana przez psy, wycofała się z krzaków, odgoniła kundysy, spędziła warchlaki w kupę, narechtała się z nimi i kłusem pognała w las na czele dzieci.

I ja też wydrapałem się z owej młaki piekielnej, uspokoiłem rozigrane nerwy, krew wzburzoną i poszedłem za tropami.

Teraz szukała w ucieczce ocalenia swego i swych dzieci, pędziła szybko i głos psów już nie dochodził do moich uszu.

Ubiegłem z ćwierć mili, kiedy posłyszałem muzykę pożądaną i to w jednem miejscu, do którego też wkrótce dotarłem.

Samura stała w brzezinie młodej a rzadkiej, warchlaki kryły się za nią, a psy naszczekiwały z przodu. Chciałem ubić jedno lub dwoje warchląt, więc obchodziłem wkoło rodzinę, ażeby strzelić do młodzieży. Matka, nie bacząc już wcale na dokuczające jej psy, nie spuszczała mię z oka i w miarę jak zachodziłem, ciągle się ku mnie zwracała, zakrywając warchlaki swem ciałem.

Powtórzyliśmy ten manewr dwa razy z jednakowym skutkiem i nareszcie musiałem ją

zabić. Zginęła, składając dowód prawdziwie macierzyńskiego poświęcenia.

Miałem w lasach swoich dwa odyńce olbrzymie, niepospolicie ostrożne, przebiegłe i odważne. Jeden z nich, prześladowany przez trzy zimy, zginął dopiero w czwartej, a wiele razy go tropiono, goniono, używając i psów i naganiaczy. Czujność, instynkt zwierzęcia dochodziły do tego stopnia, że z daleka rozpoznawał chód tropicieli i wcześnie się wymykał. Nie umiem powiedzieć, co on tam za sztuki płatał psom; to jednak pewna, że psy moje, które zawsze odważnie trzymały odyńca, a wytrwale goniły stado, nie chciały iść za tym dzikiem, wracały z ogonami spuszczonymi i żadna zachęta na nie nie działała.

W sąsiedztwie mieszkał stary leśniczy, wyjadacz, jak mówią, majster, który posiadał duże trzy ogary, sprowadzone z Węgier, wiatru doskonałego, odważne, rącze.

Raz na polowaniu leśniczy mówi:

— „Niech pan te psy kupi. Czyste szatany, biorą nawet wilka, a są w trzeciem polu!"

Żądał za nie trzysta guldenów.

Trzy psy, Dunaj, Popraw, Śpiewka, wybornie utrzymane, rosłe, o oczach, z których rozum tryskał i odwaga, stanowiły dla mnie dobrą pokusę.

— „Dobrze—rzekłem—jeżeli te psy osaczą

mego odyńca tak, że będę mógł dojść i strzelać, to je kupię“.

Stanęło na tem, że leśniczy po pierwszej przyproszce przyjedzie do mnie z psami.

Ów odyniec prowadził zupełnie prawidłowy tryb życia: nawet gdy go nie ruszano, nie przebył nigdy trzeciej doby w moich lasach i znowu na dwie doby przechodził do lasów sąsiada, który, podobnie jak ja, polował nań dwie zimy bez skutku.

Po upływie tygodnia, zjawia się leśniczy o świcie. Gdym mu powiedział, że psy nie pogonią tego odyńca, odrzekł z uśmiechem:

— „Jeszcze u nas nie było takiego!“

Ażeby nie płoszyć ostrożnego zwierza, poleciłem otropić go w dwóch miejscach.

Szczęśliwie trafiliśmy właśnie na jego pobyt w moim zrębie.

Ruszamy do lasu, a kiedyśmy stanęli na tropie, psy rwą się jak tygrysy.

— „Zrobię panu jeszcze jedno ustępstwo— rzekłem do leśniczego — nie pójdę za psami i możesz sam ubić dzika; a jak tylko pogoń się rozpocznie, ja stanę na granicy.

Obejrzał zamki, kapsle, owinął lufy chustką, dał psom po kawałku słoniny i zniknął w gąszczach.

Siedzę na koniu, czekam rozpoczęcia mu-

zyki, ale cicho i cicho, mija godzina, nic nie słychać przy powietrzu bardzo spokojnem.

Nareszcie widzę leśniczego wracającego, a za nim psiarczyka i wszystkie trzy psy z ogonami spuszczonymi, z wyrazem upokorzenia, wstydu. Stary splunął i mruknął:

„Tfu, czart, nie dzik! Sobaki jak wściekłe pobiegły do barłogu i wróciły... Poszedłem za tropem z tysiąc kroków, szczułem, zachęcałem, na nic wszystko!“

Przeżegnał się, nie chciał już polować i odjechał z psami.

Ten dzik zginął dziwnie i niespodziewanie. Wyjechaliśmy byli we trzech z dwoma psami na zające. Przy wjeździe do lasu spotykamy strażnika, który powiada, że ów odyniec nazywany przez wszystkich dziaduniem, powrócił właśnie dziś rano. Pozwoliłem myśliwym rozstawić się według upodobania, a sam, wziąwszy psy, poszedłem za tropem w gąszcz zwarty.

Las był niewielki, jeno gęsto krzaczasty. Puściłem psa Śpiewaka, a sukę Mrówkę trzymam.

Śpiewak naszczekiwał, więc puszczam Mrówkę i co tchu gonię za nimi.

Widzę dzika, psy; ale gąszcz zaśnieżony przeszkadza mi do strzału.

Idę dalej i oto dzik olbrzymi posuwa się ku granicy, a ja ani krokiem nie mogę się zbliżyć do niego. Odyniec widocznie nie posiadał

w tym dniu mocy czarodziejskiej, gdyż psy goniły go doskonale i doprowadziły do granicy, gdzie rąbano sągi, i przeto zawrócił do legowiska.

Wnet potem usłyszałem strzał, a psy ucichły.

Pośpieszyłem na miejsce i widzę obraz przerażający: dzik-okara, jak go nazywają chłopi, leży powalony, szarpany przez psy, a obok niego, o stopę od ryja, mój ulubiony preperator bez życia, trupio blady.

Rzucam strzelbę, rozrywam ubranie na człowieku, szukam tętna serca, biorę śnieg, nacieram serce, głowę, żołądek: nie mogę się dotrzeć życia.

Rozpacz mię ogarnia, ronię łzy, wołam, proszę, trup milczy.

W takiem podrażnieniu gorączkowem, rozrzynam kożuch, przewiązuje silnie rękę powyżej łokcia i w chwili, kiedy ręką drżącą naciskam żyłę, usiłuję puścić krew, martwiec otwiera oczy i pyta:

„Co pan robi?“

Była to najrozkoszniejsza dla mnie chwila w całym moim zawodzie myśliwskim i dziś jeszcze wspominam ją z rozczuleniem.

Cóż się stało?

Oto odyniec, widząc myśliwego, rzucił się nań zapalczywie.

A że myśliwy w gąszczach nie mógł się cofnąć, więc wsadził kule między oczy dzika.

Potwór natychmiast upadł, ryjem przewró-

cił swego zabójcę, który w tejże chwili dostał bicia serca i zasnął w omdleniu ciężkiem.

Inny, podobny do tego dzik rozmiarów olbrzymich, rozumu godnego podziwienia, ostrożności niezwykłej i odwagi wielkiej, zginął z mojej ręki.

Jednego dnia w styczniu 1854 r., odyniec ten obległ w jarze głębokim.

Rozstawiliśmy konie po czterech stronach legowiska aby mu przeciąć drogę; o dopędzeniu go piechotą nie było mowy, zwłaszcza, że zwierz znał doskonale wszystkie przesmyki, przejścia.

Poszedłem w tropy, prowadząc konia. Kiedy się wdrapywałem pod brzeg już drugiego jaru, jeden z koni zarżał i w tej chwili trąca mię mój służący, pokazuje odyńca uchodzącego szybkim krokiem.

Poleciłem, aby puszczono psy, które się rwały na widok odyńca pomykającego; sam zaś, zmiarkowawszy, że zanim dosiądę konia, dzik już daleko ujdzie, pobiegłem żwawo za tropem.

Zaledwie wydostałem się na górę i uszedłem kilkaset kroków, ujrzałem przed sobą obraz zajmujący. Dzik, widać zmęczony dnia tego, nie miał coś ochoty do biegu, ale, ufny w odwagę i swe szable połyskujące, przystanął.

Oparł zad o pień buku odwiecznego, usiadł, kłapał głośno zębami i zanim przypuścił atak

do któregoś z psów, długo się weń wpatrywał, a głównie napadał na jednego.

Szczęście mu nie sprzyjało, psy były zdrowe.

Las odwieczny, staropienny, nie miał żadnego podszycia, więc widziałem wybornie odyńca, a i on też często na mnie spoglądał, jednak wcale się na mnie nie rzucał. Kilkanaście minut tak upłynęło.

Nareszcie dzik rusza ku mnie krokiem wolnym, wstrząsając ogonkiem skręconym w obwarzanek i nie spuszczając mnie z oka. Że nie strzeliłem, to nie przez zbytek cierpliwości: psy mi nie dozwoliły strzału. Wprawdzie stałem wśród lasu, lecz na linii i opodal drzew; sam zaś nie wiem, dlaczego się nie ukryłem przed potworem.

Można było przepowiedzieć koniec smutny mnie, albo jemu. Przybliżył się na dwadzieścia kroków, kłapnął; wtedy strzeliłem, a odyniec w podskoku chciał przesadzić pniak wysoki i pozostał na nim martwy.

Różni ludzie, jeszcze żyjący, pamiętają widok przykry kiszek pobereżnika Iwana, zawieszonych na konarze buku pochyło rosnącego w lesie Polanicy.

Na tego strzelca nieszczęśliwego wyszedł był niespodziewanie z gąszczu odyniec i zanim człowiek mógł zmierzyć, wystrzelić, zwierz już

go powalił na ziemię i rozpruł brzuch jednem cięciem.

Znano także zuchwałego i odważnego dzika w Karpatach węgierskich, niedaleko Koszyc.

Nieraz polowałem na niego z psami, zawsze bez skutku; naganiacze zaś w tym obrębie myśliwskim bali się stawać do obławy.

Opowiadano, że jak tylko zoczył człowieka, natychmiast się nań rzucał, napadał nawet pasterzy w lesie, baby zbierające grzyby i jagody.

Podobno dla psów niebardzo bywał groźny i kiedy je odpędzał, zaraz szukał strzelca, jakby w przeświadczeniu, że ten jest wróg główny. Polowałem przez sześć lat w owych lasach dziewiczych często i na tego napastnika, nigdy jednakże nie strzelano do niego i nie dowiedziałem się nawet, czy też przyszła kreska na Matyska.

Lasy te i to polowanie dzikie z odrębnymi zwyczajami są godne opisu. Góry stykające się z obłokami, jar na jarze, piętrzące się łomy, drzewa odwieczne, przygniatające cieniem inne rośliny, gąszcze ogromne, cisza grobowa, oto obraz owej puszczy, która nastraja duszę do marzeń smętnych.

Nie było dla nas granic w tych lasach i nikomu na myśl nie przyszło pytać o właściciela.

Trąbka zgromadzała nas, a wyborni prze-

wodnicy kierowali nami. Nieszczęśliwy, kto bez zapasów żywności puścił się w tamte strony.

Musiał zaspakajać głód słoniną, pić gorzałkę, którą największy pijak u nas pogardzałby, a przy obiedzie, oblewać potrawy winem tegorocznem, przeznaczonem raczej z natury swej do sałaty.

Jadałem tam jaja sadzone, rozpuszczone w czekoladzie, kury z sosem szodowym bijącym do nosa. Te potrawy będą mi pamiętne do śmierci.

Dwaj bracia S., u których bawiłem, dziedziczyli po ojcu: każdy posiadał kilkadziesiąt mórg pola lichego i nieco łąk, a kilka tysięcy mórg górskiego lasu liściastego, niedającego dochodu. Bracia rozmawiali z sobą wyłącznie po łacinie. Jeden z nich posiadał trójkę psów znakomitych, a obaj byli myśliwi zawołani, trawiący w lasach połowę roku.

Suczka Fiołka była tak pokiereszowana przez dziki, że na całem ciele dawały się widzieć szew na szwie, wałek na wałku.

To jednakże nie zniechęcało i nie odstręczało weteranki do polowania. Zalecano mi, abym, kiedy posłyszę głos jej, śpieszył na miejsce, gdyż napewno spotkam się z dzikiem. Suczka ta chuda, mała, odznaczała się zręcznością w przytrzymywaniu dzika, którego zawsze napadała od tyłu.

Do kółka myśliwskiego należała osobistość bardzo oryginalna, niejaki Bela, pisarczyk, leśniczy i karbowy zarazem.

Mały, barczysty, zarośnięty, z włosami kędzierzawymi kruczymi, śniady, czoła nizkiego, z dużemi ustami, z brzuszkiem wypiętym na krzywych nogach. Nosił krypcie, spodnie z sukna białego, wyszywane bawełną czarną, kurtkę podszytą kożuchem, na szyi chustkę grubą barwistą, na głowie siwą czapkę baranią. Zawieszał na ramieniu lewem strzelbinę krótką z dużym wylotem, którejby nie oddał był za królestwo; nosił w prawej ręce kij, przepasywał ciało rzemieniem, a torba borsucza i trąbka z rogu wołowego dopełniały rynsztunku. Bela był tropicielem najznakomitszym, jakiego kiedykolwiek spotkałem w życiu, podkładał psy po mistrzowsku, poprawiał i zachęcał, sam wcale nie chciwy strzału, uczynny dla innych.

Układał psy doskonale; można było przysiądz, że puszczone na dzika nie pójdą za innym zwierzem, jakkolwiek z tymiż pieskami polowano na lisy, zające, sarny.

Atoli ten pół-cygan, pół-węgier miał wadę pijaństwa nałogowego.

Bracia S. twierdzili, że nie trzeźwieje przez całą zimę, a dopiero w lecie wcale już nie pije wódki. Żeby ocenić talent owego tropiciela i jego siłę olbrzymią, trzeba znać tamte góry,

przemierzyć myślą przestrzenie, które przerażają każdego obcego myśliwego.

Bela wychodził przededniem, obtropił dwie, trzy góry i stawiał się zawsze na punkcie zbornym w godzinie oznaczonej; potem zabierał psy, szedł do barłogu i czasem do wieczora prześladował dziki. Przylgnąłem do niego jak dziecię do niańki. Moja wódka nie smakowała mu zrazu, krzywił się, gdyż nie piekła, nie miała woni śmierdziuchy; później przywykł do niej i chadzaliśmy zawsze razem, a ile razy dzik ruszył, Bela nigdy nie strzelił przede mną.

Miałem z nim biedę, gdyż mówił językiem niezrozumiałym dla mnie; więc wyuczyliśmy się wzajemnie wyrazów najpotrzebniejszych na polowaniu i to nam już wystarczało.

Obawiałem się tylko, czy Bela kiedy nie padnie z pijaństwa, gdyż wtedy nie zdołałbym wybrnąć z tych lasów bez granic. Na świeżej ponowie obtropiłem raz kilkanaście dzików.

Puszczono psy i Fiołka, wbrew swemu zwyczajowi, pogoniła warchlaka i przeto pociągnęła inne psy za sobą.

Warchlak zginął z mojej ręki.

Niebawem posłyszeliśmy piskliwy głos suczki na uboczu i podążyliśmy w tym kierunku.

Dziki coś nie chciały chodzić, strzały i pogoń wcale ich nie przerażały.

Stanęły na uboczu, a każdy z nich zarysował swą postać na tle śnieżnem.

Było sztuk piętnaście, z tych siedm dużych i odyniec, nieco bliżej nas przez psy napadnięty; ruchliwy, zręczny, odganiał napastników z szybkością godną podziwu. Widzieliśmy jak psy przewracał, słyszeliśmy ich skomlenia.

Kiedym spostrzegł niebezpieczeństwo, nabijam strzelbę, a Bela wskazuje na dzika.

Zrozumiał mię, oczy mu się zaiskrzyły, uśmiechnął się, splunął po tytoniu żutym w ustach, kiwnął głową i podchmielony ruszył na odyńca.

Teraz dzik, otoczony przez psy z Fiołką dokuczliwą na jego tyłach, zaczął mamlać ryjem, toczyć pianę, tupać nogami coraz niecierpliwiej i nareszcie całym pędem uderzył na Belę. Bela jak ryś odskoczył na kilka kroków, wypuścił dzika za siebie, strzelił. Odyniec, kozłując, zwalił się do wody bez życia.

Uściskałem nieustraszonego strzelca, chociaż nie rozumiałem dobrze, czy to była odwaga jego, czy gorzałka.

Wysączyliśmy manierkę do dna i ta wódka dobiła już Belę.

Towarzysz mój, rozogniony teraz, zapalił sobie cygaro i głosem ochrypłym, z mimiką gwałtowną począł coś wykładać, wskazując już

na górę, już na psy, na siebie, czego nic a nic nie mogłem zrozumieć.

Dopiero bracia S. nadeszli, wysłuchali mowy Beli i oświadczyli, że należy iść za stadem dzików, które z pewnością stanęło na górze za pasieką. Jeszcze poszwargotali między sobą, poczem Bela zabrał psy i zniknął nam z oczu; my zaś poczęliśmy się mozolnie wdrapywać pod górę zaśnieżoną.

Podczas tego pochodu dowiedziałem się, że Bela obejdzie całą górę, puści psy z parowu i napędzi na nas dziki.

Kiedyśmy stanęli na szczycie i zaczęli schodzić po ścianie dosyć spadzistej, światło dzienne już się mroczyło. Mieliśmy pod stopami strumyk, osłonięty wikliną, dalej łączkę, w oddaleniu lasy czarne, okiem nieprzejrzane na górach stożkowatych, a cały krajobraz odznaczał się na tle różowem zachodzącego słońca. Zachwycony widokiem, sięgałem myślą w przeszłość daleką tej pustyni leśnej. Wtem jeden z braci S. ciągnie mię za rękaw i mówi:

„Fiołka goni!“

Rozbiegliśmy się wszyscy, podążając ku strumykowi, przez który dziki miały się przeprawić. Spojrzałem na pagórek, wznoszący się przed nami, i widziałem, jak Bela, zataczając się, ku psom zmierza.

Wnosiłem z ujadania psów o blizkości dzi-

ków, a przeto trudno było nawoływaniem zwracać strzelca pijanego. Milczałem i inni milczeli, wyczekując na posuwające się dziki. Bela, jak tylko spostrzegł, że stado opuszcza krzaki, stanął nieruchomy na zupełnie pewnych nogach. Przypuścił pędzące dziki na dwadzieścia kroków, powalił dwoma wystrzałami dwie ogromne sztuki, przewrócił się na wznak, a cała gromada zwierząt przebiegła przez jego ciało.

Strach nas ogarnął, zapomnieliśmy o dzikach, pędzimy do zabitego, jak mniemaliśmy, Beli, który nie daje znaku życia.

Zbliżamy się w niepokoju i słyszymy sapanie ogromne.

Oglądamy go dokładnie, przekonywamy się, że pijak jest zdrów, tylko plamy czerwone od racic dzików pozostały mu na ciele.

Po tym dniu pamiętnym opuściłem już góry.

SPIS RZECZY.

	Str.
Wstęp	5
Lew	9
Jaguar	40
Tygrys	51
Słoń	68
Hipopotam	88
Nosorożec	99
Krokodyl	114
Struś	126
Goryl	137
Bizon	154
Niedźwiedź biały	162
Niedźwiedź brunatny	172
Niedźwiedź szary	184
Dzik	193

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096413541